



www.poznaj-swiat.pl

# Poznaj Świat

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

PODRÓŻNICZO... CZNY 11 2019

Ekwador

## LA MAMA NEGRA

str. 8

str. 14

## KIRGISTAN

PODRÓŻ W STYLU  
CZYNGIS-CHANA

str. 64

## CZECHY

MORAWY  
WINEM PŁYNĄCE

str. 32

## RWANDA

GŁĘBOKI SEN IMANY

**WIELKA BRYTANIA** STR. 44  
KORNWALIA DLA PIECHURÓW

**BAHAMY** STR. 74  
SZAMANI I PŁYWAJĄCE ŚWINIE

**NORWEGIA** STR. 24  
POLARNA PRZYGODA

POLSKA  
STR. 54



ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



917700321614902 11





PRAWDZIWE OBLICZE  
PRZYGODY

SERIA

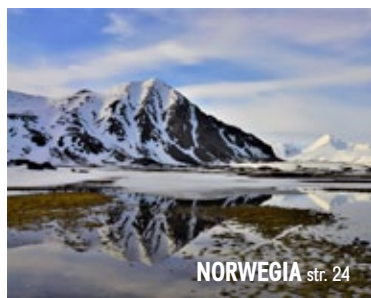
**FĒNIX® 6**

**GARMIN®**





**KIRGISTAN** str. 14



**NORWEGIA** str. 24



**CZECHY** str. 64



**WIELKA BRYTANIA** str. 44



**POLSKA** str. 54

## W NUMERZE

**FOTOFORUM** str. 4  
Najlepsze zdjęcia  
naszych Czytelników

**EKWADOR** str. 8  
Każdego roku u stóp  
wulkanu Cotopaxi odbywa  
się szalona fiesta  
La Mama Negra.  
**Bartłomiej Rubik**

**KIRGISTAN** str. 14  
Podróż w stylu  
Czyngis-chana.  
**Damian Wojciechowski TJ**

**NORWEGIA** str. 24  
Polarna przygoda  
na Spitsbergenie.  
**Aleksander Zachuta**

**RWANDA** str. 32  
Dwadzieścia pięć lat temu  
ekstremiści Hutu dokonali  
masakry na ludzich  
pochodzenia Tutsi.  
**Kamil Kaczmarski**

**GEOSKOP** str. 40

**WIELKA BRYTANIA** str. 44  
Kornwalia dla piechurów.  
**Karolina Wiercigroch**

**PODRÓŻNOŚCI** str. 52  
Prawo do podróży.  
**Felieton Magdaleny  
Żelazowskiej**

**POLSKA** str. 54  
Dla przyjeżdżających  
z zachodnich terenów  
Polski Tarnów jest bramą  
do Podkarpacia.  
**Tymoteusz Bajor**

**NAVIGATOR** str. 60

**CZECHY** str. 64  
Morawy winem płynące.  
**Mateusz Żemła**

**DŁUGO W DRODZE** str. 72  
Krzyk kamienia.  
**Felieton Łukasza  
Długowskiego**

**BAHAMY** str. 74  
Szamani i pływające świnię.  
**Agata Kurzańska**

**POLSKA NIEZNANA** str. 80  
U Neptuna po sezonie.  
**Felieton Mikołaja  
Gospodarka**

**POZNAJ ZWYCZAJ** str. 82  
Barani łeb i śmierdząca  
ryba – smaki Islandii.  
**Mikołaj Wyrzykowski**

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:  
**GRUZJA, ROSJA** str. 88  
Śladami Prometeusza.  
**Janusz Kafarski**

**ŚLADAMI  
PRZESZŁOŚCI** str. 98  
Gęsim piórem.  
**Felieton Anny Szcześniey**

**OUTDOOR** str. 100

**POLSKA,  
KTÓREJ NIE MA** str. 104



NA OKŁADCE:  
mały uczestnik  
festy w Ekwadorze

Rafał Pardela

INDIE

## Błękit himalajski

Malowniczo położone w Himalajach jezioro Banggong Co leży na wysokości powyżej 4000 m n.p.m. Ma długość 134 km, z czego część leży na terenie Chin (trudno określić, jak duża, bo jest to teren sporny). Podobno zimą całkowicie zamarza, pomimo zasolenia.





# Kopalnia Soli „Wieliczka”



Witaj w kopalni tajemnic

[www.kopalnia.pl](http://www.kopalnia.pl)





Zbigniew Kula

POLSKA

## Próba ujęcia Biebrzy

Pisarz i znawca tej rzeki, Mikołaj Samojlik, twierdził: „Biebrza nosi w sobie coś, czego nie da się namalować, opisać, ująć obiektywnym aparatu fotograficznego”. Te słowa miałem w głowie, kiedy robiłem to zdjęcie. Zostało wykonane o świcie w okolicy Brzostowa.



Natalia Semrał

UKRAINA

## U bazylianów

Cerkiew św. Andrzeja Apostoła we Lwowie. Zbudowana na początku XVII w. jako kościół rzymskokatolicki, została zamknięta po II wojnie światowej i nie była użytkowana przez prawie kolejne 50 lat. Potem znalazła się w rękach zakonu bazylianów. Zachwyca licznymi dekoracjami, ornamentami oraz freskami.



Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: [redakcja@poznaj-swiat.pl](mailto:redakcja@poznaj-swiat.pl).  
W temacie e-maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści – imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.  
Minimalny rozmiar fotografii to 2 MB.

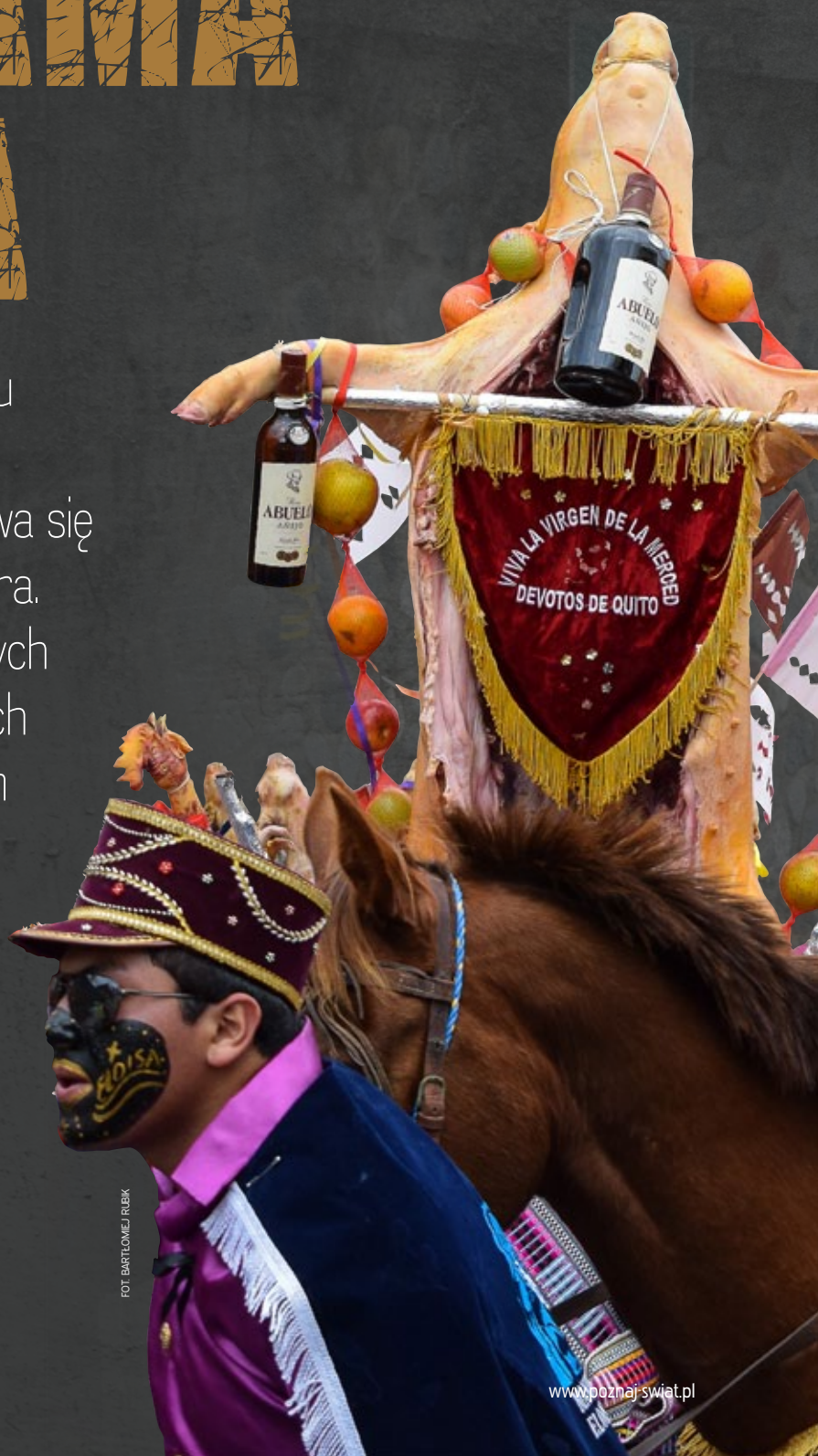




Bartłomiej Rubik

# LA MAMA NEGRA

Każdego roku u stóp wulkanu Cotopaxi, w ekwadorskim miasteczku Latacunga, odbywa się szalona fiesta La Mama Negra. To jeden z najbardziej hucznych i kolorowych festiwali w całych Andach. Święto jest typowym przykładem synkretyzmu religijnego w Ameryce Łacińskiej – katolicyzm i dawne wierzenia prekolumbijskie przeplatają się tu ze sobą.



FOT. BARTŁOMEJ RUBIK





FOT. BARTOLOMEJ RUBEK





**E**kwador jest usiany wulkanami, najwyższym z nich jest wygasły Chimborazo (6263 m n.p.m.). Jego szczyt jest punktem najdalej położonym od środka Ziemi. Wszystko dlatego, że wulkan znajduje się niemalże na równiku, a Ziemia nie jest idealną kulą. W związku z tym jego wierzchołek leży o dwa kilometry dalej od środka naszej planety niż Mount Everest. Jednak najbardziej aktywnym wulkanem Ekwadoru jest Cotopaxi (5897 m n.p.m.). W przeszłości wielokrotnie obracał w pył okoliczne wioski.

Od tego czasu mieszkańcy obrali sobie Matkę Boską za patronkę i nazwali ją Virgen del Volcan (dosł. Dziewica Wulkaniczna). Każdego roku we wrześniu organizują na jej cześć huczną fiestę, podczas której dziękują za opiekę i proszą o ochronę przed gniewem wulkanu.

Przez kilka dni Latacungę opanowują roztańczone *comparsas* – zespoły grajków, którzy poprzez muzykę i taniec ofiarowują miasto opiece Matki Boskiej Wulkanicznej. Wesoły korowód składa się z kilkudziesięciu takich *comparsas*, które tańczą, grają na trąbkach i bębnach, częstują widzów alkoholem (z chochli lub z gwinta), a nieposłusznych chłoszczą po nogach małymi biczeniami.

Centralną postacią całego korowodu jest Mama Negra – postać kobiety w czarnej masce, poruszająca się na koniu. W prawej ręce trzyma małą lalkę – to jej symboliczna córka Baltazara. W lewej ręce natomiast dzierży naczynie ze święconym mlekiem (symbol matki), którym polewa uczestników parady. Zgodnie z tradycją w rolę Mama Negra zawsze

### PIĘKNE COMPARSAS

Tanec i muzyka to nieodłączne elementy każdej latynoskiej fiesty. W ulicznych paradach podczas święta Mama Negra bierze udział kilkadziesiąt roztańczonych *comparsas* (zespołów taneczno-muzycznych).

### MATKA BOSKA WULKANICZNA

Zawsze najbardziej poszkodowane było kolonialne miasteczko Latacunga. W 1742 r. potężna erupcja po raz kolejny zagrażała miastu i kiedy katastrofa wydawała się nieunikniona, mieszkańcy zebrani przed kościołem modlili się do Matki Boskiej Łaskawej o ocalenie. Wydarzył się cud – potoki płonącej lawy zatrzymały się i miejscowość uniknęła zniszczenia.







FOT. BARTŁÓMIEJ RUBEK

wcielają się mężczyźni, wybrani zwykle spośród wyższych sfer – lokalni prawnicy, lekarze, urzędnicy.

Symbolika Czarnej Matki nie jest jednoznaczna – jedni upatrują w niej wcielenia Matki Boskiej i nawiązania do wulkanu, lawy i popiołów. Inni twierdzą z kolei, że to patronka czarnych niewolników, którzy pracowali w kopalniach, a których Mama Negra wybawiła z jarzma hiszpańskiej niewoli. Jak to często bywa w Ameryce Łacińskiej, wiele teorii, wierzeń i symboli miesza się ze sobą.

## ŚWINIAKI NA KRZYŻU

W skład każdego tanecznego zespołu wchodzi *ashangueros* – osiłkowie, którzy na wielkich stelażach w kształcie krzyża dźwigają rozprute pieczone świniaki. Prosię jest obwieszane jeszcze grillowanymi świnkami morskimi, butelkami whisky, paczkami papierosów i koralami z owoców. Całą osobliwą konstrukcję wieńczy obrazek z wizerunkiem Matki Boskiej

na patyku wetkniętym w świński ryj oraz wiewające flagi Ekwadoru.

*Ashangueros* biegają i tańczą z tym wazącym kilkadziesiąt kilogramów ładunkiem przez cały czas trwania festiwalu. Wierzą, że w ten sposób odpokutowują grzechy za cały poprzedni rok. Jednocześnie ofiarowując swój wysiłek Matce Boskiej Wulkanicznej, proszą o jej ochronę przed potężnym żywiołem. Bycie *ashanguero* to duży zaszczyt, ale też odpowiedzialność. Do tej roli mężczyźni przygotowują się cały rok poprzez treningi i dietę, trzeba być dość dobrze zbudowanym, żeby poradzić sobie z takim ciężarem. Zostanie *ashanguero* to także marzenie wielu chłopców – przyuczają się do tego zadania od najmłodszych lat. Podczas parady niosą stelaż z pieczonym kurczakiem albo pluszową świnką.

## PALENIE ZAMKU

Wśród tłumu gapiów przemykają też ubrani na biało *los huacos* – uliczni szamani

## POKUTA OSIŁKÓW

Osilkowie *ashangueros* nie rozstają się ze swoim wazącym kilkadziesiąt kilogramów bagażem przez dwa dni fiesty. Taniec z tym ciężarem to forma pokuty za grzechy.



### PRZEKĄSKA OFIARNA

Pieczone świniaki, kurczaki, alkohol, owoce – to tylko niektóre ofiary dla Matki Boskiej Wulkanicznej. Po zakończeniu parady są jedzone przez uczestników fiesty.



FOT. BARTŁOŃCZAK

z charakterystycznymi maskami, które gwarantują im anonimowość. Za drobną opłatą dokonują oni na uczestnikach fiesty rytuałów oczyszczania, tzw. *limpia*. Okrążają swoją „ofiara” i za pomocą witek ze świętych ziół, drewnianych rogów i rozpylanej z ust wody ognistej *aguardiente* wypędzają złe duchy. Ale najważniejszym atrybutem ich magii jest żywa świnka morska. Podczas prawdziwych rytuałów szamańskich w Ekwadorze świnka morska to narzędzie diagnostyczne. Masuje się nią pacjenta, a później rozcina zwierzę i z bebeczków wyczytuje diagnozę. Podczas fiesty Mama Negra jednak żadnej śwince krzywda się nie dzieje.

Punktem kulminacyjnym wieczoru jest tzw. *quema de castillo*, „palenie zamku”. Przed kościołem jest ustawiana wielopoziomowa bambusowa konstrukcja naszpikowana sztucznymi ogniami. Po podpaleniu całość trzęsie się gwałtownie, a kolorowe elementy odlatują w niebo lub czasem w zgromadzony tłum.

Te fajerwerki to show przygotowany specjalnie dla Matki Boskiej Wulkanicznej, kolejny dar, którym mieszkańcy chcą zyskać jej przychylność i zapewnić ochronę przed gniewem Cotopaxi przez kolejny rok. ○



Bartłomiej Rubik

Fotograf dokumentujący święta, ceremonie i rytuały oraz tradycje ludów rdzennych w różnych zakątkach świata.

### PŁONĄCY ZAMEK

Czyli pokaz fajerwerków. To również dar dla Matki Boskiej Wulkanicznej w intencji ochrony przed gniewem wulkanu.



FOT. BARTŁOŃCZAK





Życie po dawnemu | Warsztaty | Połańcówki | Spotkania z mistrzami tradycji



ETNOCENTRUM  
ZIEMI KROŚNIEŃSKIEJ

**Inspirujemy tradycją**

 [facebook.com/etnocentrum](https://facebook.com/etnocentrum)  [instagram.com/etnocentrum](https://instagram.com/etnocentrum)  [EtnocentrumZiemiKrośnieńskiej](https://EtnocentrumZiemiKrośnieńskiej)



Działania promocyjne i informacyjne związane z otwarciem ETNOCENTRUM Ziemi Krośnieńskiej realizowane są w ramach projektu pn. „Modernizacja zabytkowego dworca PKP na potrzeby funkcjonowania ETNOCENTRUM Ziemi Krośnieńskiej” dofinansowanego ze środków Unii Europejskiej w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko na lata 2014-2020, oś priorytetowa VIII. Ochrona dziedzictwa kulturowego i rozwój zasobów kultury, działanie 8.1.



Damian Wojciechowski TJ

# PODRÓŻ W STYLU CZYNGIS-CHANA

Po dwunastu dniach wyprawy jesteśmy znużeni – my i konie. Mamy za sobą 400 km przez dzikie góry sięgające prawie 4000 m n.p.m. Pokonaliśmy łącznie ponad 6 km różnic wysokości. W końcu widać brzeg Issyk-kulu. To prawie morze, a nie jezioro: długie na 200 km, szerokie na 80, a głębokie na ponad 700 m, położone na wysokości 1650 m.









po bokach. Każdy chce być pierwszy, jakby obudził się w nich pierwotny instynkt; jakby nie musiały nas przez tyle dni taszczyć przez skały, przełęcze, bagna, śnieg, deszcz i grad. Wpadamy jak szaleni na łączkę przed Centrum Dziecięcym, które jest naszym celem. (Centrum 10 lat temu wybudowali jezuici, przyjmuje ono co roku na terapię oraz wypoczynek ok. tysiąc dzieci – niepełnosprawnych, sierot i z biednych rodzin). To koniec wędrówki. Ale ten ostatni galop będzie się nam długo śnił po nocach!

## KOŃ SIĘ BRONI, WIELBŁĄD PRZEGRĄŁ

Kirgistan to jeden z ostatnich krajów, gdzie koń ciągle jest stałym elementem krajobrazu. Na wsi, a szczególnie na wysokogórskich pastwiskach, nie można się bez niego obyć. Wszędzie można spotkać tabuny wędrujące po polach lub stepie. Kiedy jedziemy, zawsze podziwiam Kirgizów, jak lekko trzymają się w siodle: minimalne ruchy ciałem, jak zrosnięci z wierzchowcem. Nie ma się czemu dziwić, siadają na niego, gdy mają 5–6 lat. Żyją z końmi od tysięcy lat, piją ich mleko, używają do transportu i żaden *toj* (wesele) lub pogrzeb nie obejdzie się bez końskiej kielbasy *czuczuk*.

Jednak w ciągu ostatnich stu lat wiele się zmieniło. Kiedyś, obok wielbłądów, były

Słońce w zenicie. Ostatnie kilometry ślimaczymy się strasznie. Bliżej jeziora rośnie wysoka trawa, na którą nasze rumaki rzucają się jak szalone, bo przez całą drogę nie miały takiego przysmaku! Trudno je oderwać od tej zieleni. Nasz przewodnik Asyłbek (tzn. „mądry”) ostrzegwał, aby nie przybliżać się do wody, bo konie mogą się w nią rzucić, nie zwracając uwagi na jeźdźców. A teraz sam wpada na plażę i zaczyna galopować. Za nim wszystkie nasze rumaki, jakby zapomniały o głodzie, pragnieniu i zmęczeniu.

Pędzimy wzdłuż fal, które uderzają o brzeg. Konie wprost lecą nad piaskiem, nie zwracając uwagi na kurdzyny (sakwy), które biją je

### PRZEDWIOŚNIE

Na szczytach jeszcze śnieg, a w dolinie gruba pokrywa szronu. Niedaleko stąd jest przełęcz Tosor – 3893 m n.p.m., którą Kirgizi przeganiają wiosną na wysokogórskie łąki bydlę i konie z wioską nad jeziorem Issyk-kul.







FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI TU

jedynym środkiem transportu. Wielbłąd, który niósł jurte, czyli około 500 kg, został zastąpiony przez ciężarówkę, koń zaś, na dłuższych odcinkach – przez samochody osobowe. Nikt już nie jeździ nim z miasta do miasta, a sporo dróg jest wyasfaltowanych. Ale jeszcze na początku XX w. wędrowano w ten sposób wiele

dni przez góry i przełęcze. Teraz każdy *czaban* (baca) ma koło jurty stare audi lub nowszego landcruisera. Końmi wędruje tylko kilka dni wiosną – z aiłu (wioski) na syrty (wysokogórskie pastwiska powyżej 3000 m), a potem jesienią z powrotem, pędząc przed sobą stada owiec, krów i koni.

#### **JAKI GRZECZNY**

**W tym kraju nie ma dzikich jaków, ale wiele udomowionych stad żyje w wysokich górach prawie bez kontaktu z ludźmi. Takim bykowi trzeba więc spętać przednie nogi, aby nie atakował zwierząt i ludzi.**



FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI TU



## WESTERNOWO

Skąły, śnieg czy lód to codzienność dla miejscowych koni – tym razem na najwyższej przełęczy, jaką pokonała wyprawa, czyli Dingurome (3773 m n.p.m.).



FOT. DAWAN WOLCZKOWSKI

## PRZEZ DOLINĘ BURHANU

Szerokie, pokryte soczystą trawą doliny to typowy krajobraz Tien-szanu (po chińsku „niebiańskie góry”). Na zdjęciu dolina Burhanu – dopływu Narynu, jednej z największych rzek Azji Centralnej.

Dawniej Kirgizi musieli do pełna napakować prowiantem swoje kurdżuny, aby po tygodniach wędrówki dotrzeć do celu. Wędrowcy mogli nocować w napotkanych jurtach, bo gościnność to tutejsza cecha narodu. Nie mieli map, albo więc brali ze sobą przewodnika, albo pytali o drogę ludzi z innego plemienia (wtedy więzi plemienne były silniejsze niż narodowe). Kirgizów 100 lat temu było zaledwie 600–800 tys. (teraz 5 mln), czyli góry były bardziej puste.

Przy ścieżce pasterze właśnie zakończyli rozbijanie jurty. Starsza kobieta wita nas z daleka, a młoda podchodzi z kumysem i chlebem. Tłumaczę, że nie mamy drobnych. Młody Kirgiz wyjaśnia, że to poczęstunek – każdy musi

spróbować choć kawałek. Siedząc w siodle, biorę drugą, trzecią miseczkę kumysu i wypijam duszkiem – jest wyśmienity!

Jurta to nie namiot, lecz prawdziwy przenośny dom. Na samym dole jest *ke-rege*, około metrowy płótek, składany dla transportu w harmonijkę, to na nim mocuje się drewniane pręty *utuk*. Od liczby *utuk* zależy wielkość jurty – najmniejsza ma ich 45 i mogą w niej przespać się 3–4 osoby. Największa ma 95 i może pomieścić nawet kilkadziesiąt osób. Pręty na górze łączą się na *tunduk* – okręgu, w którego wnętrzu jest umieszczony krzyż z 3 do 5 prętów. Taka konstrukcja pokryta jest *kijiz*, czyli wołokiem z owczej sierści.



FOT. DAWAN WOLCZKOWSKI





FOT. DAWID WOJCIECHOWSKI / TJ

Jurta to genialny wynalazek, który nie uległ zmianom od tysięcy lat. Latem chłodna, zimą ciepła – temperaturę reguluje się w niej, odkrywając lub zakrywając *tunduk* kawałkiem wołoku.

## TAKIEJ GRUPY TU NIE BYŁO...

Od lat marzyłem, żeby zorganizować wyprawę, która powtórzy dawne wyprawy Kirgizów. Ale jak znaleźć ludzi, którzy chcieliby sprawdzić na własnej skórze podróżowanie w czasach Czyngis-chana? Nie chodzi zresztą tylko o ludzi, którzy dobrze siedzą w siodle, ale również o takich, którzy potrafiliby z bagażami wędrować po pustkowiach i bezdrożach kilkanaście dni. Otóż taka ekipa się znalazła – w warszawskim klubie jeździeckim Szarża, który od lat organizuje wyprawy konne, w tym w góry.

A jak znaleźć konie? Kirgiskie firmy turystyczne oferują tylko krótkie, znane i powtarzane trasy, z ogromną liczbą pomocników i za

okrągłą sumę. Długo czas myślałem, że jedyne wyjście to kupić konie w jednym miejscu, a potem po zakończeniu wyprawy sprzedać je w innym. Przypadkowo dowiedziałem się jednak od Eriki, właścicielki kempingu jurtowego położonego po sąsiedzku z naszym Centrum Dziecięcym, pół Rosjanki, pół Kirgizki, że w Bokenbajewo, siedzibie powiatu na południowym brzegu Issyk-kulu, działa coś w rodzaju agroturystyki. Tam konie bierze się bardzo tanio bezpośrednio od czabanów.

Na spotkaniu z Sałtanat *edże* (*edże* to „pani”), szefową „spółdzielni turystycznej”, wałę prosto z mostu, że mam swoją trasę, nie potrzebuję przewodnika, no i mam ludzi, którzy znają się na koniach nie gorzej od miejscowych. Ku mojemu zdziwieniu Sałtanat zgadza się na moje warunki. Dziwi się jednak, że bierzemy tylko jednego konia jucznego: – *A jak będziecie transportować wodę mineralną?* – *Jaką wodę mineralną?* – pytam zdziwiony. – *No, do picia.* Okazuje się, że turyści zagraniczni boją się pić z górskich strumieni.

## TWARDA SZKOŁA

**Dzieci często podróżują przez ten dziki kraj samotnie. Uczy się je samodzielności i odpowiedzialności. A pomaga w tym oczywiście koń.**





Sałtanat nie rozumie też, jak sobie poradzimy z jednym przewodnikiem. Kto będzie nam siodłał konie i rozstawił namioty? Sami? Takiej grupy jeszcze nie miała! I do tego 12 dni jazdy przez nieznaną górę, kiedy najdłuższa trasa ich „spółdzielni” trwa 9 dni, no i jest dwa razy krótsza.

Troje z nas trzy dni wcześniej jedzie do Bokenbajewa, aby sprawdzić konie, siodła i uprzęż. Trzema niewielkimi ciężarówkami wiziemy je nad jezioro Son-kul, położone na

wysokości 3500 m n.p.m. Od początku maja z niepokojem obserwowałem góry wznoszące się nad Biszkekiem, stolicą Kirgistanu. W tym roku wiosna była nadzwyczaj długa – na szczytach co kilka dni pojawiał się świeży śnieg. Moje obawy się potwierdzają: droga na przełęcz prowadzącą do jeziora jest zasypana śniegiem. Muszę więc częściowo zmodyfikować plan naszej trasy, aby uniknąć śniegu na przełęczach. Oznacza to także, że będziemy mieli mniej wariantów odwrotu lub skrócenia trasy.



#### MYŚLIWI NA ŁOWACH

Posiłek w opuszczonym szałasie myśliwskim niedaleko od przełęczy Kerege-Tasz (3684 m n.p.m.).





FOT. DAWID WOJCIECHOWSKI TJ

## OCEAN TRAWY I NIEBA

Spotykamy się z pozostałymi uczestnikami wyprawy nad Son-kul, rozdzielamy konie i następnego dnia ruszamy przed siebie. Chcę ściąć drogę, posuwając się wzdłuż brzegu. Choć cały teren wokół jeziora jest naturalnie zabagniony, to jednak błoto w tym roku jest głębsze niż zwykle – koń przewodnika zapada się po brzuch i robi się niebezpiecznie. Skręcamy więc na drogę.

Asyłbek, nasz przewodnik, wie, że to ja ustalam trasę, targając nim jednak wątpliwości. Ciągłe pyta, czy znam drogę? Ratuje mnie to, że umiem bardzo dobrze czytać mapę, więc przed każdym odcinkiem mówię mu, co będzie dalej, i tak nabiera do mnie zaufania.

– Skąd znasz szlak? – pyta. Łgam jak z nut: – Jeden przewodnik z Dżuku mi o nim powiedział... Później okazuje się, że Asyłbek nie ma pojęcia o mapie. Kiedy pokazuję ręką i pytam: – Tam jest rzeka Burhan? – Nie za tymi górami – odpowiada. Sprawdzam więc na mapie: – Nie, tam na lewo musi być Burhan. Asyłbek patrzy na mapę z niedowierzaniem i nagle mówi: – Popatrz, Burhanów jest dużo! – i pokazuje kolejne podpisy do tej samej rzeki.

W dolinie Sułtansary kłusujemy razem ze stadem jaków. To krowy i cielaki, bo byki na szczęście trzymają się oddzielnie – mogą być niebezpieczne. Stado, które spotykamy, liczy około 200 sztuk. Biorąc pod uwagę, że jeden jak może kosztować nawet 1000 USD, łatwo policzyć, że właściciel takiej gromady jest bogaczem.

Z naprzeciwka jedzie dziewczynka. Zatrzymuje się niepewnie. Skąd jest i co tutaj robi? Jest z rodzicami na *dżajto* (letnie pastwisko) i ma 8 lat. Rodzice wysłali ją do sklepu we wsi. Jedzie samotnie przez góry cały dzień i potem wraca tą samą drogą. – *Jak wchodzisz na konia?* – pytam zaciekawiony. Dziecko wydaje krótki okrzyk, kobyła pochyla głowę do ziemi, a mała zgrabnie ześlizguje się na ziemię po jej szyi, a następnie, chwytając się grzywy, wdrapuje z powrotem na siodło.

Asyłbek jest już pewniejszy i zadowolony: – *To Karasaz.* – Był tutaj kilka lat temu. Teraz już mi wierzy, że za południowym pasmem znajduje się rzeka Kiczik Naryn, wzdłuż której prowadzi jego standardowa trasa. Asyłbek informacje o trasie czerpie z rozmów

## GÓRY CIENISTE

W Terskiej Ałatoo („góry cieniste”) rosną największe w Kirgistanie lasy świerkowe. Na zdjęciu dolina Dżuku, należąca do najdłuższych w tym paśmie, ok. 30 km.





z napotkanymi pasterzami, a ci niestety znają tylko swoją najbliższą okolicę.

Wjeżdżamy na niewysoką, płaską przełęcz łączącą Karasaz („czarne błoto”) z doliną Bołgart. Widok zapiera dech. W każdym kierunku bezkresne, zielone doliny otoczone pasmami gór. Zupełna pustka i brak jakichkolwiek

znaków cywilizacji. Trzymamy konie za uzdy i wpatrujemy się w zielone przestrzenie, które wydają się zlewać z pochmurnym niebem. Co ciekawe, po kirgiskiu na kolor trawy i nieba używa się tego samego słowa: *kok*. Tak jakby Kirgizi chcieli podkreślić, że te dwa „morza”, niebo i step, są jednym oceanem.



## POPAS

Dolina Dżytu-Suu w stońcu zachęcała do odpoczynku. Topił się śnieg i lodowce, zapewniając wodę dla kanałów nawadniających, które biegają przez położone u podnóża gór kotliny.



FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI TJ

Teraz mała niespodzianka dla moich ułanów: po drodze na przełęcz Keregetasz („okrągły kamień”, 3684 m n.p.m.) zatrzymujemy się przy gorącym źródle. Z powodu wysokiej temperatury w obskurnym baseniku można wytrzymać zaledwie kilka minut. Ale po tygodniu bez mycia to prawdziwa rozkosz.



FOT. DAMIAN WOJCIECHOWSKI TJ

## OSTATNIA PROSTA Z BIAŁO-CZERWONĄ

Następny nocleg – pod samą przełęczą. Jest tak zimno, że rano jedna z naszych dam, zdumiona białym płaszczem, który pokrył kotlinę, pyta, czy to śnieg? Nie, to szron. Na samej przełęczy tylko co zszedł śnieg. W małym strumieniu szamocą się ławice pstrągów, które próbuje bezskutecznie łapać Asyłbek. Trawa między niewielkimi jeziorkami jeszcze się nie zazieleniła, za to wszędzie dookoła biały dywan pełników.

Droga na dwunastą i ostatnią, najwyższą przełęcz, Dingurome („grzmiąca” ze względu na częste burze, 3773 m n.p.m.), prowadzi znowu przez skały i kamienie. Czasami strach zagląda w oczy, kiedy koń ślizga się nad przepaścią i jego najmniejszy błąd może zakończyć się dla nas obydwu tragicznie. Koń jest jednak o wiele spokojniejszy ode mnie i lawirując wśród głazów, pewnie pokonuje kolejne przeszkody.

Nasza wyprawa powoli się kończy. Jeszcze nocleg w rozległej, zalesionej na zboczach dolinie Dżuku. Następny będzie o wiele niżej, gdzie w końcu jest ciepło, a na polanie wśród wysokich czerwonych skał i niskiej trawy płyną małe strumyki.

A potem już ostatnia prosta – wybrzeże Issyk-kulu, które przypomina Sycylię: suchą, kamienistą i spaloną słońcem, z rzadkimi kolczastymi roślinami. Z biało-czerwoną flagą, przytroczoną do siodła, dumnie wjeżdżamy do wioski Darhan, pierwszej miejscowości na naszej trasie. Kirgizi patrzą na nas, białych jeźdźców, ze zdziwieniem i sympatią. ○



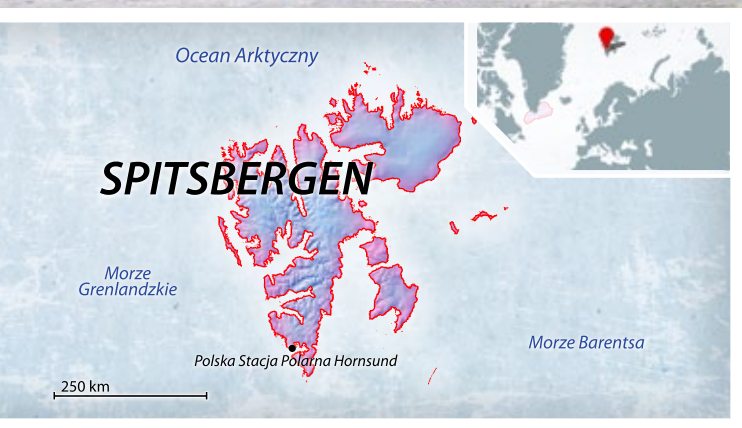
**Damian Wojciechowski TJ**

Jezuita, dziennikarz, reżyser. Od 1994 r. mieszka na Syberii i w Azji Centralnej. Organizuje wyprawy w Altaj, Sajany, Tuwę, Chakasję, na Bajkał, Zabajkale, Kamczatkę, Alaj, Pamir i Tienszan. [www.tienszan.jezuici.pl](http://www.tienszan.jezuici.pl)



# POLARNA PRZYGODA

Aleksander Zachuta





Zwykły dzień, popołudnie. Czas leniwie spędzony na kanapie przed telewizorem. Między reklamami, w jednym z serwisów informacyjnych, pojawiła się informacja, że Instytut Geofizyki PAN rekrutuje na 41. Wyprawę Polarną. Potrzebni technicy i... kucharz. Oferują kilka miesięcy w Arktyce w Polskiej Stacji Polarnej w Hornsundzie. Ale kosmos! – pomyślałem, a w głowie powoli zaczął tlić się plan.



FOT. ALEKSANDER ZACHUTA

#### PANORAMA MASYWNA

Najbliższa okolica Polskiej Stacji Polarnej – widok na lodowiec Hansbreen, szczyt Princessetopen oraz masywy Kamkrona, Gnalberget i Fannytopen.



**Z**wykształcenia jestem mechanikiem, a z zawodu kucharzem, służyłem w marynarce wojennej, lubię zimę – co może pójść nie tak? Jeszcze tylko trzeba przekonać żonę. Po zapewnieniach, że pewnie i tak nie przejdę procesu rekrutacji, zgodziła się. Aplikuję. Telefon zadzwonił i zaprosili mnie do Warszawy na rozmowę. Pytali o wszystko. To jednak kilka miesięcy na odludziu. A na koniec sakramentalne „oddzwonimy”. I oddzwonili. Po gruntownych badaniach lekarskich oraz wielu szkoleniach byłem gotowy. Wyruszyliśmy z końcem czerwca z Gdyni na jednostce szkolnej Akademii Morskiej – Horyzoncie II.

### PRZYWITANIE Z HANSEM

Bujało. Na prawo, na lewo, w przód i w tył. Siódma rano ósmego dnia rejsu. Powoli sprawdziłem, czy po nocnym sztormie wszystkie części ciała mam na swoim miejscu. Ponieważ nie stwierdziłem patologicznych zmian, powoli spróbowałem wstać. Kajuta wyglądała, jakby przetoczyło się przez nią stado dzikich

słoni. Wszystko było wszędzie. Powolutku, nóżka za nóżką, schodziłem zejściówką. W wyjściu na rufę pojawił się bosman. – *Jesteśmy* – powiedział. Wszyscy, którzy jeszcze mogli chodzić, zamiast do messy poszli na burtę. W dali zamajaczyły ośnieżone szczyty gór od wierzchołków w dół przykryte chmurami. – *Jesteśmy, jesteśmy* – powtarzali wszyscy, ściskając się z radości. Połknęliśmy śniadanie i dalej na pokład, na nadbudówkę – stamtąd jest najlepszy widok.

Wiatr ucichł. Pofalowane morze się wygładziło. Słońce zaświeciło w twarz. Wpływaliśmy do Hornsundu. Arktyka otwierała przed nami swoje bramy. Krystalicznie czyste powietrze pozwalało odetchnąć pełną pierśią. Przekroczyliśmy Przylądek Wilczka z charakterystycznym drewnianym krzyżem, ustawionym tu podczas stanu wojennego przez polskich polarników. Pod krzyżem znajduje się akt erekcyjny:

„Hornsund Anno Domini 1982

50 lat temu zimowała na Wyspie Niedźwiedziej Pierwsza Polska Wyprawa Polarna. 25 lat temu prof. Stanisław Siedlecki zbudował

**BAZA LUDZI BADAWCZYCH**  
Hornsund to całoroczna polska placówka naukowa. Prowadzi ją Instytut Geofizyki Polskiej Akademii Nauk.



FOT. ALEXSANDER ZACHUTA



## KRZYŻ PÓŁNOCY

Przylądek Wilczka – pod tym krzyżem w czasie świąt odbywają się najdalej na północ wysunięte arktyczne msze święte, które celebruje polski ksiądz odwiedzający stację polarną.

FOT. ALEKSANDER ZACHUTA

Stację Naukową w Isbjørnhamna. W 4. roku pontyfikatu Papieża Polaka Jana Pawła II, my Polacy, pracujący na Spitsbergenie – uczestnicy wypraw polarnych, wzniesiliśmy ten krzyż dla upamiętnienia 50-lecia naszej działalności w Arktyce. Niech ten symbol będzie dowodem naszego istnienia i nadziei.

Jeszcze Polska nie zginęła”.

Z dała widzieliśmy małe budynki Polskiej Stacji Polarnej i załogę, która zaraz miała nas podjąć ze statku.

Byłem w pontonie. Nagle huk! Jakby uderzenie pioruna. Rozglądaliśmy się nerwowo. – *Spokojnie* – powiedział sternik: – *To wita was Hans. Hansbreen, lodowiec. Teraz pęka, a potem będzie się celił*. I rzeczywiście! Do wody osunął się bezgłośnie lód wielkości ośmiopiętrowego bloku. Widok zapierał dech.

W końcu na lądzie. Powoli lekkim wzniesieniem zbliżałem się do Polskiej Stacji Polarnej. Nagle zza budynku wyszły renifery. Stałem jak wmurowany. Przeszły dwa metry obok, wcale nie zwracając na mnie uwagi.

Tyle razy widziałem to miejsce na zdjęciach. Tyle razy czytałem tę tabliczkę przy drzwiach, kiedy tysiące kilometrów stąd siedziałem przed komputerem. A teraz tu byłem.

Delikatnie otworzyłem drzwi. Ściągnąłem buty, a w przedsionku witali nas zimownicy. – *Co tak długo?* – pytali. – *Przed godziną pod stacją był niedźwiedź polarny. Przyszedeł się z wami przywitać. Trochę zbladłem. – To one tu podchodzą?* – *Tak. Dość często.*

## KOZA W HUSIE

Piec z husa Hettevika. Do ogrzania tej polarnej chaty i przyrządzenia w niej posiłku musi wystarczyć taka koza.



FOT. ALEKSANDER ZACHUTA





FOT. ALEXANDER ZACHUTA

#### LATEM W HORNSUNDZIE

Kiedy ciepłej, wielu turystów przyływa podziwiać jeden z najpiękniejszych fiordów Spitsbergenu. Tu widok na Hornsund z Polskiej Stacji Polarnej.

#### SZATA ZDOBI LISA

Piesiec, czyli lis polarny, zmienia letnią brązowoszarą szatę na zimową śnieżnobiałą.

## GÓRA WRZASKU I ZATOKA GĘSI

Pogoda była łaskawa, więc między codziennymi obowiązkami wygospodarowałem czas na wycieczkę. Płynęliśmy w głąb fiordu. Kilkuosobowa ekipa, wszyscy w specjalistycznych kombinezonach. Woda tu ma temperaturę bliską zeru, gdyby ktoś wpadł do niej bez kombinezonu, miałby kilka minut życia.

Morze jak na zamówienie, spokojne. Widoki obłędne, ciepło. Ze stacji popłynęliśmy pod Gnalberget (Górę Wrzasku). Jej szczyt jest majestatyczny, z wysokim na kilkaset metrów urwiskiem. Zamieszkują je tysiące mew trójpalczastych, które gniazdują na półkach

skalnych. W całej okolicy słychać niesamowity krzyk niezliczonej liczby ptasich garded. Z góry wypływa geotermalne źródło, którego wody wlewają się wprost do fiordu. Nieopodal brzegu znajduje się stara chata traperska z 1911 r., z której czasami korzystają naukowcy.

Dalej w poprzek fiordu popłynęliśmy do Gåshamna – Zatoki Gęsi. Z wody to miejsce nie wyglądało na atrakcyjne. Kamienista, szeroka plaża i tarasy polodowcowe. Jakież było moje zdziwienie, kiedy za pierwszym wzniesieniem zamajaczył dawny rosyjski hus (szałas traperski) Konstantinowka i pozostałości rosyjskiej stacji badawczej. Oczyma wyobraźni podniosłem z ruin budynki. Musiał tu być spory ruch. Świadczyły o tym znacznych rozmiarów podstawy budowli i pocięte kości wielorybów, które powoli pochłaniała tundra. Niedaleko ruin górowało niewielkie wzniesienie. Bardzo prawdopodobne, że to piec do wytapiania tranu z wielorybów.

Kiedyś Spitsbergen był rajem dla trapezów. To właśnie tu, na południu archipelagu Svalbard, były najdłuższe prowadzone polowania. Zaczęło się 6 maja 1610 r., kiedy statek wielorybniczy Amite wpłynął do Hornsundu. Odtąd temu miejscu towarzyszy człowiek. Polowano tu chyba na wszystko. Począwszy



FOT. ALEXANDER ZACHUTA



od wielorybników w XVII w., przez łowców morsów, aż do działalności morskich traperów. Dopiero w 1972 r. wydano zakaz polowań na białe niedźwiedzie, co definitywnie zakończyło okres polowań na Spitsbergenie. Pomimo tego, że duża część wyspy jest parkiem narodowym, a wszyscy jej mieszkańcy bardzo dbają o przyrodę, to populacje ssaków morskich odnawiają się dość powoli. Niedźwiedzie mają się całkiem nieźle i ich liczbę szacuje się na 3500 sztuk. Podczas mojego pobytu można je było spotkać co kilka dni.

Poszliśmy dalej, na plażę. Tam niewielka rzeka wpływała wprost do fiordu. Każdy krok był okupiony wysiłkiem. Kilkunastokilogramowy, szczelny kombinezon niezbyt się sprawdzał podczas pieszych wycieczek po kamienistej plaży. Jednak było warto. Jeszcze nie widziałem tak krystalicznie czystej wody. Na rzeczonym dnie, niczym baśniowe morskie węże, wiły się targane silnym prądem rośliny. Na horyzoncie majestatycznie wznosił się Gnal.

## FIGLE NA FUGLU

Musieliśmy wracać do stacji. To godzina drogi motorówką, choć wydawało się, że wszystko

jest na wyciągnięcie ręki. Gdy nie ma drzew, nie ma punktu odniesienia co do wysokości i odległości. Bardzo boleśnie się o tym przekonałem, wchodząc na górę Fugleberget. Fugiel, jak nazywają go polarnicy, wznosi się na wysokość 568 m n.p.m. ponad Polską Stacją Polarną. W pogodny dzień to wyjątkowy punkt widokowy. Roztacza się z niego panorama na wewnętrzne rejony Hornsundu, półwysep Sørkapp, Morze Grenlandzkie oraz nunataki (określenie zaczerpnięte z języka występującego na Grenlandii. Oznacza „czarną skałę”, szczyt wznoszący się nad powierzchnię lądolodu i otoczony zewsząd przez pokrywę lodową). W oddali są widoczne też lodowce Ziemi Wedela Jarlsberga. Zanim jednak mogłem to wszystko podziwiać, musiałem się tam dostać.

Wycieczka na szczyt zrodziła się przy okazji, ponieważ pierwszym celem było podglądanie alczyków, których kolonie znajdują się w masywie Fugla. W pobliżu gniazdowania ptaków zaprowadzili nas goszczący w stacji naukowcy zajmujący się nimi. Jak to laicy, chcieliśmy podejść tak blisko, jak to tylko możliwe. Jednak to nie takie proste.

– *Stop. Dalej nie idziemy!* – zasygnalizował jeden z uczonych. Kamienie były luźno

**„POLSKA KOLONIA”**  
Gromada alczyków powracających do kolonii w Zatoce Białego Niedźwiedzia. To właśnie tam prowadzą nad nimi badania naukowcy z Uniwersytetu Gdańskiego.





**Z FUGLA NA HORN**

**Widok z góry Fugleberget na fiord Hornsund. Rozciąga się on równoleżnikowo, z obu stron dochodzą do niego południkowo ułożone masywy górskie.**

osadzone i moglibyśmy wyrządzić krzywdę psikłętom. Poza tym do samej kolonii ludziom wchodzić nie wolno ze względu na przenieszone choroby. Dla nas może niegroźne, ale nie wiemy, jak ptaki mogłyby na nie zareagować. Tak więc siedzieliśmy schowani za skałami i obserwowaliśmy, jak alczyki sobie żyją. To ptaki gromadne i bardzo towarzyskie. Podczas polarnego dnia właściwie cały czas słychać je w okolicach stacji. Długość ich ciała wynosi około 18 cm, a rozpiętość skrzydeł dochodzi niemal do 50 cm. Są to najmniejsze ze wszystkich alk. Z bliska są łatwe do rozpoznania, natomiast w locie mogą zostać pomyłone z maskonurami. Krążyły nad nami jak dobrze dowodzone dywizje samolotów, przelatując to w jedną, to w drugą stronę.

Pomyśleliśmy, że jeśli już tu jesteśmy, to żal by było nie skorzystać i nie pójść na szczyt Fugla. Pogoda dobra, zapasy sił były, wystarczyło więc tylko zameldować do bazy i po uzyskaniu aprobaty kierownictwa kontynuować wycieczkę. Czas potrzebny na zdobycie szczytu określaliśmy na godzinę. To się zdziwiliśmy, gdy po jej upływie szczyt wciąż pozostał odległy. Plecy powoli stawały się mokre, kamienny gruz uciekał spod butów. Broń ważyła coraz więcej. Aparaty fotograficzne, które dyndały na szyjach, ciążyły jak chomąta.

Stanęliśmy na przełęczy zmęczeni. Po jednej stronie widzieliśmy Hornsund i bezkres Morza Grenlandzkiego, a po drugiej – niewidoczne z dołu gigantyczne rozmiary lodowca Hansa. I górę, którą z każdej strony otacza







FOT. ALEKSANDER ZACHUTA



FOT. ALEKSANDER ZACHUTA

beźmiar lodu. Na przełęczy znajduje się deszczomierz, który regularnie odwiedza biochemik pracujący w stacji. Przełęcz to także miejsce, w którym można przejść w stronę lodowca Hansa, czyli stała droga geodety do punktów jego pomiaru.

Cel naszej wycieczki był wprost przed nami. Tylko 15 minut stromego skalnego podejścia. Powoli pojawiała się niesamowita arktyczna panorama. Morze, fiord i góry tworzyły niepowtarzalny widok. Po wschodniej stronie Fugła znajduje się skalne urwisko, nad którym latają alczyki. Chciałoby się stąd nie ruszać. Niestety pogoda się psuła, nadciągały niskie chmury. Zejście na dół po osypującym się podłożu zdawało się bardziej karkołomne niż zdobycie szczytu. Za pół godziny obiad, a my nadal na szczycie. Z odsieczą przyszła sama przyroda, która przygotowała nam śnieżną rynnę – pozostałość po jednym ze źleńców podczas letnich wytopów. Przepakowaliśmy wszystko na brzuchy, a sami niczym gromadka rozbawionych dzieciaków zjechaliśmy na pupach kilkaset metrów w dół. Tym sposobem w ciągu dwudziestu minut wróciliśmy do stacji. Obiad smakował jak nigdy.

To jedna z tych przygód, które pozostaną na zawsze w moich wspomnieniach. Podobnie jak Arktyka – jej widoki, przyroda oraz niezmałona cisza, w której można usłyszeć siebie. ○

#### GEŚINA NA ZIMĘ

**Bernikle białolice z młodymi. Ptaki to dominująca grupa zwierząt na Spitsbergenie.**

**W czasie opuszczania przez pisklęta gniazd drapieżniki mają szansę zgromadzić zapasy tłuszczu na zbliżającą się zimę.**



**Aleksander Zachuta**

Szef kuchni i kucharz z pasji. Propagator i trener kulinarny. Szuka niezwykłych miejsc, gdzie można promować kuchnię polską i małopolską. Gotował w kopalni i na szczytach gór. Miłośnik Arktyki.



Kamil Kaczmarecki

# GŁĘBOKI SEN IMANY





Według rwandyjskich wierzeń bóg Imana w ciągu dnia przemierza cały świat po to, żeby w nocy wrócić do Rwandy i odpocząć. – Gdzie był Imana w 1994 r.? – zapytała mnie pewnego razu Harmonie, którą poznałem w Kigali.

**D**wadzieścia pięć lat temu ekstremiści Hutu dokonali masakry na ludziach pochodzenia Tutsi. W ciągu zaledwie 100 dni, od kwietnia do lipca 1994 r., zginęło prawie milion osób.

Do Rwandy chciałem pojechać od niemal dziesięciu lat, mniej więcej po przeczytaniu „Strategii antylop” Jeana Hatzfelda. Z czasem czytałem coraz więcej o ludobójstwie, ale brakowało mi ostatecznego impulsu, żeby kupić bilety.

Kiedy przenieśliśmy się do Luksemburga, w autobusie poznałem Réginalda. Wysoki, o posturze i ruchach koszykarza, przyjechał tu jakiś czas temu z żoną i synkiem. Wychowywał się w byłym Zairze, a w 1995 r. wraz z rodzicami wrócił do Rwandy. Dzięki niemu poznałem też Jeana-Bosco, który jest przewodniczącym



wspólnoty Rwandyjczyków w Luksemburgu. Potem brałem udział w ich corocznej kolacji, zorganizowanej w senegalskiej restauracji, i temat wyjazdu stawał się coraz bardziej realny.

## SZYBKO, TANIO, RYZYKOWNIE

Wcześniej rano w Kigali wzięłem moto-taxi na dworzec autobusowy Nyabugogo. Kiedy zapytałem kierowcę, czy mnie tam zawiezie, odpowiedział spokojnie: – Eee. „Eee” albo „mmm” może oznaczać zgodę lub że ktoś nas słucha. Może też oznaczać, że ktoś słucha z grzeczności, ale tak naprawdę nie słucha, lub że ktoś się nie zgadza, ale nie powie wprost „nie”, bo jest to w rwandyjskiej kulturze niegrzeczne. Kiedy jechałem w nocy taksówką, minęliśmy kierowców moto-taxi spisanych przez policję tuż po wypadku. Motocykle leżały na chodniku, na jezdni były ślady krwi. „Mmm” taksówkarza było wówczas wyrazem dezaprobaty dla ich niebezpiecznej jazdy.

Bywa, że faktycznie jeżdżą odważnie i próba zmieszczenia się między ciężarówką i autem jadącym z naprzeciwka może budzić kontrowersje. Nie zmienia to faktu, że moto-taxi

są szybką, elastyczną i tanią formą przemieszczania się. Pod koniec mojego pobytu, już po ustaleniu ceny i założeniu kasku, dodawałem po prostu: *buhoro* („powoli”). Jeśli nie znajdziesz postoju moto-taxi i ruszysz pieszo w jakimkolwiek kierunku, kierowcy sami po chwili znajdą ciebie, zaczepiając krótkim trąbieniem.

Nyabugogo, największy dworzec autobusowy w Kigali, jest dużym piaszczystym placem otoczonym kasami biletowymi, kantorami, ubezpieczalniami. Jest sporo sklepików z napojami i przekąskami na drogę, kącik pucybutów i drobna elektronika. Stąd wyruszam do Nyanzy, a następnie Rukari.

## BYDŁO KRÓLEWSKIE

Nyanza była siedzibą królów Rwandy (*mwami*), kolebką przekazywanej z pokolenia na pokolenie tradycji ustnej o bitwach i podbojach. W muzeum w Rukari zrekonstruowano historyczny pałac królów wraz z zabudowaniami. Obok znajduje się pałac zbudowany już w 1932 r. Kiedy kupowałem bilet, chłopak w recepcji zapytał, czy chcę też zobaczyć krowy.

### MOTO-TAXI

Kolorowe kamizelki i kaski kierowców można spotkać w całej Rwandzie zawsze i wszędzie. Tu zabierają pasażerów z Nyabugogo, największego dworca autobusowego w Kigali.



FOT. KAMILA KAWA/REX





FOT. KAMIL KACZMARESKI

Ujrzałem je po wyjściu z chat należących do królewskiej służby. Majestat i spokój, jakie były od tych zwierząt, unieruchomiły mnie na kilka sekund. Gniade umaszczenie, lśniąca sierść i długie poroże. Tak wielkie i imponujące, że aż nierzeczywiste. Wodziłem wzrokiem po jego krzywiźnie, stojąc tak daleko, kiedy opiekun stada podszedł do nich i zaczął nucić uspokajającą pieśń. Łagodne brzmienie miało ukoić królewskie bydło *inyambo*, które nie jest hodowane ani dla mięsa, ani nawet dla mleka. Po prostu dla swojego piękna i dostojności. Zrozumiałem wtedy, dlaczego na ich temat powstało tyle poezji.

## PIKNIK DLA WTAJEMNICZONYCH

Rubavu leży nad jeziorem Kiwu, przez które przebiega granica między Rwandą a Demokratyczną Republiką Konga (DRK). W górnej części jest miasto z targiem, sklepikami, salonami fryzjerskimi, apteką, rzeźnikiem i główną kwaterą policji zachodniej Rwandy. Na dole,

bliżej brzegu jeziora, znajdują się hotele, plaża publiczna i ciąg barów z plażami prywatnymi. W knajpkach można zamówić smażone małe rybki *sambaza* prosto z targu obok, na którym kobiety rozkładają je na stelażach z metalowych siatek.

W Rubavu miałem do dyspozycji jeden dzień. Przed południem Emmanuel i Christian, których spotkałem podczas porannego spaceru, zaproponowali, że przewiozą mnie łodzią po jeziorze. Podpłynęliśmy do granicy z DRK, skąd było widać dachy przygranicznej Gomy. Wracając, zobaczyliśmy wioskę Rubona – mały port z licznymi domami letniskowymi, a także zahaczyliśmy o Kuk Abakobwa, czyli Wyspę Kobiet – kamienisty skrawek lądu, na który wywożono kobiety w niechcianej ciąży. Jest wystarczająco daleko od brzegu, aby nie mogły stamtąd wrócić.

Pod koniec dnia jeszcze krótka wycieczka kajakiem ze wspomnianej Rubony. Na małym cyplu znajdują się gorące źródła, popularne miejsce wśród miejscowych. Ktoś przyjeżdża tutaj pomodlić się lub pomedytować,

## ROGATE MUZY

Królewskie bydło *inyambo* w muzeum Rukari. Opiekun śpiewa im uspokajającą pieśń. Krowy mają tu szczególne znaczenie. Są nie tylko symbolem dobrobytu, ale także piękna. Były natchnieniem dla wielu poetów.



ktos inny – potaćzyć lub coś wypalić, parszuka odosobnienia. Ponieważ są to tereny wulkaniczne, jest tu kilka małych gejzerów o temperaturze wody 70–90°C i całkiem spore naturalne jacuzzi, oblegane w celach leczniczych. Jest bar z przekąskami i muzyką, a wszystko sprawia wrażenie kameralnego pikniku dla wtajemniczonych, zorganizowanego pośrodku jeziora.

Było krótko przed 18.00, kiedy słońce zaczęło się powoli obniżać od strony DRK, zabarwiło na pomarańczowo Gisenyi i Gomę, aż w końcu rozlało powoli na wielkim akwenie Kiwu. Od strony brzegu na nocny połów sambazy i tilapii wypływało kilka łodzi. Dochoodził do nas przytłumiony odgłos wiosłowania i nadającej mu rytm pieśni. Pozdrowiliśmy się w języku rwanda.

### KRAJOBRAZ PO LUDOBÓJSTWIE

Budynek parlamentu ze śladami walk z 1994 r. W jego części mieści się muzeum, w którym przedstawiono kampanię Rwandyjskiego Frontu Patriotycznego, mającą na celu powstrzymanie ludobójstwa Tutsi.

## RÓŻANIEC I MACZETA

Jechaliśmy mercedesem Boba z Kigali przez pyliste drogi z objazdami. Kiedy wjechaliśmy

do Nyamaty i zaczęliśmy kluczyć po jej piaszczystych bocznych uliczkach, Bob stwierdził, że tak właśnie wyglądała Rwanda w 1994 r.

„Nyamata Genocide Memorial” głosi napis na bramie. Przy wejściu znajduje się tablica poświęcona włoskiej siostrze Antonii Locatelli, która udzielała się charytatywnie w Nyamacie od 1972 r. i która 9 marca 1992 r. wypowiedziała się dla Radio France Internationale w sprawie pięciuset Tutsi zabitych w regionie Bugesera: „Wiem, że ludzie, którzy dokonali zabójstw, przyjechali rządowymi samochodami. W przeciwieństwie do tego, co mówi rząd, te zabójstwa nie były spontanicznym wybuchem agresji, lecz zorganizowaną akcją władz wymierzoną w Tutsi”. Wieczorem tego samego dnia oficer żandarmerii Epimaque Ulimubenshi zastrzelił ją przy wejściu do szkoły, w której ukrywała dzieci Tutsi.

W kościele jest cicho. W ścianach są dziury, przez które wrzucano granaty, na suficie widać otwory po nabojach. Rzędy ławek tworzą literę „v”. Na nich są poukładane przybrudzone rzeczy tych, którzy wierzyli, że w kościele będą bezpieczni. Kraciasta spódnica, zielona sukienka, koszulka z logo drużyny NBA. Ołtarz przykryty poszarzałym obrusem z brązowymi śladami krwi. Na nim leżą książeczki do nabożeństwa, monety, różańce, drobne rzeczy osobiste, dowody tożsamości, a obok tego, na skraju – maczeta.

Na dole w krypcie setki czaszek. Wiele z nich z wbitym kawałkiem ostrza, śladem po kuli, niektóre pogruchothane, z otworem wielkości kilkunastu centymetrów.

Za ołtarzem na ścianie jest przyklejonych kilka listów, obok których dostrzegłem mężczyznę. Miał na oko sześćdziesiąt lat, wyglądał na Amerykanina lub Europejczyka. Siedział na ławce i modlił się w skupieniu.

„Nie przestaje mnie zastanawiać, dlaczego zostaliście zabici i jaki z tego pożytek mieli zabójcy. Ciężko mi cokolwiek powiedzieć. Tato, wiesz, że mama przeżyła, ale jakiś czas temu też odeszła? Zostałam sama. Ukończyłam szkołę, mam pracę, z której jestem w stanie się utrzymać. Życie bywa trudne. Ponieważ odeszliście, zanim pojawiła się technologia, mam smartphone’a, ale nie mam Waszego numeru. Czy w niebie też się starzejecie? Tato, mam chłopaka, który jest z Inkotanyi. Mam







### KWIBUKA ZNACZY PAMIĘĆ

W Kigali Genocide Memorial w Gisozi spoczywają szczątki 250 tys. ofiar. Widoczny w tle napis „Kwibuka” upamiętnia 25. rocznicę ludobójstwa Tutsi.

nadzieję, że Ty i mama zobaczycie nasz ślub stamtąd, gdzie jesteście. Proszę, módl się za mnie, a ja chcę, żebyście byli szczęśliwi”. Kiedy Bob tłumaczył mi treść listu, mężczyzna z ławki podszedł i zapytał, czy też może posłuchać.

Gdy zostaliśmy już z Bobem sami, zagaiła nas Vicky, nauczycielka z Minnesoty. – *Wiecie, kim jest człowiek, dla którego tłumaczyliście?* – zapytała. – *To jest Carl Wilkens.*

Carl Wilkens był pastorem Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego. Od 1978 r. pracował w Afryce na misjach. Kiedy rozpoczęło się ludobójstwo, zdecydował się zostać jako jedyny z 257 Amerykanów przebywających wtedy w Rwandzie – głównie dlatego, że w jego domu pomagało dwóch Tutsi, Juan i Anita. Carl został więc z żoną i trojgiem

dzieci, założył sierociniec Gisimba, w którym ocalił około czterystu osób. Obecnie mieszka w Waszyngtonie i przyjeżdża do Rwandy każdego roku.

### PRZED I PO

Z Nyamaty pojechaliśmy do pobliskiej wioski Ntarama. Tutaj kościół jest mniejszy, a ławki tak niskie, że mogłyby być klęcznikami. „Jeśli znałbyś mnie i samego siebie, nigdy byś mnie nie zabił” – można przeczytać na płachcie zawieszanej na wewnętrznej ścianie. Ntarama podlegała pod parafię w Nyamacie. Za kościołem jest mały budynek gospodarczy i kuchnia, w których Tutsi z okolicy zebrali się, żeby się ukryć.



### POMNIK POGROMU

Brama prowadząca do Nyamata Genocide Memorial. Spoczywają tu szczątki 50 tys. osób zamordowanych w kościele w Nyamacie i okolicy.



**FRONTEM DO WŁADCY**

Rekonstrukcja chaty rwanadyjskich królów w muzeum Rukari. Goście wchodzili od lewej strony, a wychodzili z prawej, zawsze zwrócenii przodem do króla.



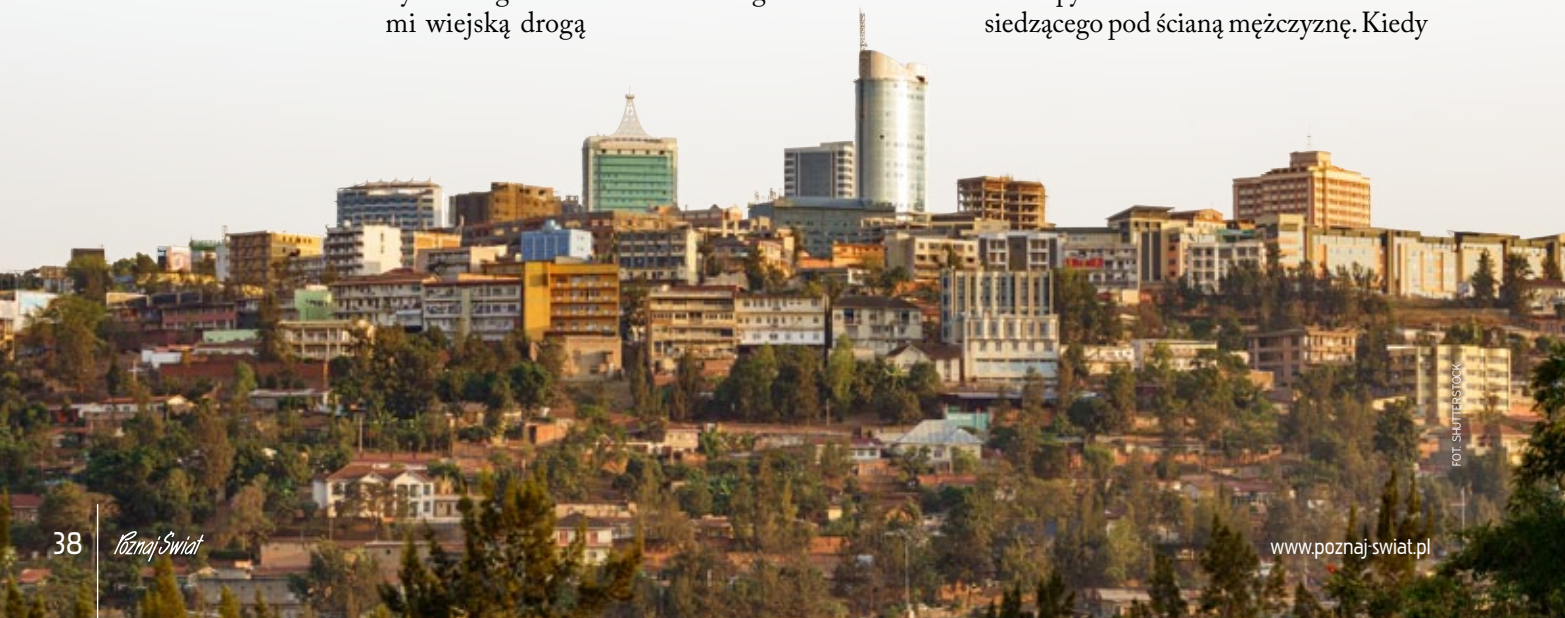
FOT. KAMIL KACZMAREK

Stoimy na zewnątrz, gdzie młoda przewodniczka opowiada nam o wydarzeniach z kwietnia tamtego roku. Potwierdza nasze przypuszczenia, skąd wzięła się ciemna plama na ścianie. Kiedy mówi o ponad pięciu tysiącach osób, które tu zginęły, łamie jej się głos. Bob zapyta później, czy praca w tym miejscu nie wpływa na nią zbyt mocno. Okazuje się, że pracuje w sekcji, która zajmuje się ubraniami wygrzebanymi z masowych grobów. Kiedy natrafia na ubrania dzieci, włosy, fragmenty kości, bywa, że ją to przerasta.

Bob jest kuzynem Réginalda. Wrócił z rodzicami do Rwandy w 1994 r. z Zairu (obecnie DRK), krótko po wyzwoleniu kraju przez Rwanadyjski Front Patriotyczny. Któregoś dnia szedł z kolegami wiejską drogą

i w lesie zobaczył rozkładające się ciało. To, co jego przeraziło, dla nich było codziennością. W tamtym czasie Bob poznawał dzieci, które w spojrzeniu miały dorosłość. Dziewczynkę, która zabierając się do rysunku, podzieliła kartkę poziomą kreską. U góry narysowała siebie, mamę, tatę i rodzeństwo stojących obok siebie. Na dole stała już tylko ona, a reszta rodziny leżała. Części były zatytułowane odpowiednio „przed” i „po”.

Jakiś czas później Bob odwiedził pierwszą wioskę pojednania. Jedna z kobiet zwierzyła mu się, że sąsiad, przyjaciel rodziny, spalił jej dom, zamordował męża i dzieci. Oszczędził ją tylko dlatego, aby to wszystko widziała i dalej z tym żyła. – *Wiesz, gdzie jest teraz ten człowiek?* – zapytał. – *Siedzi tam.* – Wskazała na siedzącego pod ścianą mężczyznę. Kiedy



FOT. SHUTTERSTOCK





FOT. KAMIL KACZMARSKI

## CZYM CHATA BOGATA

W salach konferencyjnych, pokojach spotkań i restauracjach Kigali Convention Centre można przyjąć do pięciu tysięcy gości. Architektura budynku nawiązuje do tradycyjnych chat rwandyjskich królów.

się spotkali już po ludobójstwie, długo prosiła, żeby to z siebie wyrzucił, ale nie potrafił. Kiedy w końcu się przemógł i poprosił o przebaczenie, oboje wybuchnęli płaczem.

## DWIE RWANDY

Przez cały pobyt ścierały się we mnie dwie Rwandy. Ta, której doświadczałem, przemierzając ją pieszo, autem i moto-taxi. Widziana z autobusu w dzień i wieczorami. Z przystankami po drodze, na których podbiegali chłopcy z przekąskami. Rozciągnięte na wzgórzach Kigali z zapachem szaszłyków z koziego mięsa, strumieniem aut przeplatanych kolorowymi kaskami kierowców i pasażerów moto-taxi. Z wielkim rondem KG1, na którym wieczorami spotykają się biegacze. Kigali na krótki czas stało się moim rwandyjskim domem.

Druga Rwanda to ta sprzed dwudziestu pięciu lat, która wracała do mnie obrazami z książek Hatzfelda, Marinovicha i gen. Dallaire’a. Kimihurura z modnymi kawiarniami i restauracjami serwującymi kuchnię świata, w której 17 kwietnia 1994 r. Gwardia Republikańska wyciągała z domów i biła pałkami Tutsi, a kordon milicji pilnował, żeby nie uciekli. Stadion Amahoro, na którym UNAMIR udzielił schronienia dwunastu tysiącom ludzi. Budynek parlamentu mieszczący Campaign Against Genocide Museum, na którym

zachowano ślady po kulach. Miejsca w Kigali, które pokazał mi mój kolega Régis – to, w którym 7 kwietnia torturowano i zamordowano dziesięciu belgijskich żołnierzy z kontyngentu UNAMIR ochraniających premier Agathe Uwilingiymanę. Pobliski szpital, z którego strony jeszcze przez kilka lat unosił się odór zwłok, bo ciała zakopywano w pośpiechu i zbyt płytko.

Z jednej strony – ta Rwanda dziś, czysta i bezpieczna, z opłacanymi przez mieszkańców strażnikami pilnującymi wiosek i dzielnic miast. Plakaty z hasłem kampanii, która ma na celu unikanie wskazywania, kto jest Hutu, kto Tutsi, a kto Twa. *Ndi Umunyarwanda*, czyli po prostu „Jestem Rwandyjczykiem”. Z drugiej – sytuacja w regionie: napięte stosunki z Burundi, krwawe wojny na wschodzie DRK, będące pokłosiem wydarzeń z 1994 r.

Tak jak te dwie Rwandy, wracają do mnie na przemian obrazki. Ten, w którym kilka lat temu mój kolega jedzie tramwajem w Brukseli. Z głębi składu dostrzega go inny Rwandyjczyk i patrząc w oczy, powolnym ruchem pokazuje gest podcinania gardła. I ten, gdy w sobotnie słoneczne południe Emmanuel obwozi mnie łódką po jeziorze Kiwu. Kiedy rozmawiamy o sytuacji w kraju, stwierdza: „Po tej strasznej lekcji uczymy się kochać siebie nawzajem, aby to, co wydarzyło się w 1994 r., nigdy się nie powtórzyło”. ◉



**Kamil KaczmarSKI**

Ukończył ekonomię na Politechnice Gdańskiej i Universidad de Jaén, studiował w Instytucie Reportażu. Pracował w redakcji i publikował na łamach kwartalnika literackiego „KZO”. Autor książki poetyckiej „Aita”.



# GEOSKOP

OBEJRZANE  
PRZECZYTANE  
ZASŁYSZANE

POD PATRONATEM POZNAJ ŚWIAT I NIE TYLKO

## PODKARPACKI KALEJDOSKOP PODRÓŻNICZY

To odbywający się w Rzeszowie festiwal, który już na dobre wpisał się w kalendarz imprez podróżniczych. W tym roku tradycyjnie potrwa trzy dni między 29 listopada a 1 grudnia. W ubiegłorocznej edycji wzięło udział ponad trzy tysiące osób, które uczestniczyły w Akademii Młodych Odkrywców, warsztatach fotograficznych i podróżniczych, koncercie oraz w spotkaniach z zaproszonymi gośćmi. W tym roku organizatorzy spodziewają się podobnej liczby uczestników. Atrakcje będą równie ciekawe, a w piątkowy wieczór odbędzie się koncert Wojtka Waglewskiego i grupy Voo Voo. Uczestnicy wraz z Tomkiem Owsianym wybiorą się do Gujany Francuskiej, Anna i Krzysztof Kobusowie zabiorą ich do Namibii, Natalia Mileszyk zaś przybliży zgromadzonym Iran. W ośmiotysięczne Himalaje zabierze Magdalena Gorzkowska, która stanęła na szczycie Manaslu, a Ola i Karol Lewandowscy z bloga BusemprzezSwiat.pl zaproszą na historyczną Route 66 w USA. Będzie też mowa o Spitsbergenie, Bhutanie, Papui czy Madagaskarze, który widzowie poznają oczami ucznia ósmej klasy – Szymona Radzimierskiego. W niedzielę wystąpią Jasiek Mela oraz Jakub Porada.

[www.KalejdoskopPodroznicy.pl](http://www.KalejdoskopPodroznicy.pl)



Podkarpacki  
Kalejdoskop  
Podróżniczy

Festiwal Kultur Świata

## KRÓLOWA. LHOTSE '89



4 października 1979 r. Jerzy Kukuczka rozpoczął na himalajską karierę, stając na szczycie swojego pierwszego ośmiotysięcznika – Lhotse. Dziesięć lat później, jako jeden z najśłynniejszych himalaistów na świecie i zdobywca Korony Himalajów i Karakorum, wraca pod ten sam szczyt. „Królowa” to kolejne wydawnictwo Fundacji Wielki Człowiek, drugie z serii „Z archiwum Jerzego Kukuczki”. Podstawą książki powstałej z okazji 30. rocznicy śmierci himalaisty jest dziennik Kukuczki spisany podczas wyprawy na Lhotse w 1989 r. Integralnymi elementami historii są fotografie, listy, ale też multimedia ukryte w kodach QR – nagrania wideo i audio. „Królowa” to opowieść podróż, która snuje się pomiędzy słowem, obrazem i dźwiękiem. Realistyczna, subiektywna ekspedycja, w którą wyruszają czytelnicy.



# MIĘDZYNARODOWE TARGI TURYSTYCZNE TT WARSZAW



W dniach 21–23 listopada w Warszawie odbędzie się 27. edycja targów TT Warsaw. Pałac Kultury i Nauki wypełni się gośćmi z 50 krajów oraz 5 kontynentów: Afryki, Ameryki Południowej, Ameryki Północnej, Azji i Europy. Prawie 500 wystawców, a wśród nich 150 touroperatorów, przedstawi kompleksową ofertę obejmującą wszystkie zakątki świata. W sobotę w Strefie Podróżników będzie można spotkać się z Aleksandrem Dobą, Dorotą i Jarkiem Kowalskimi (blog Szalone Walizki), Ewą Chojnowską-Lesiak (blog Szpilki w Plecaku), Marcinem Gładką, Moniką Ścibor, Pawłem Wachem (Klub Podróżników Soliści), Tomaszem Habdasem (blog W Szczytowej Formie), Tomaszem Ilnickim, Jackiem Jasińskim, Jakubem Juszyńskim. Wstęp na targi jest bezpłatny po rejestracji online.

[www.ttWarsaw.pl](http://www.ttWarsaw.pl)

## KARKONOSKIE DNI LAJTOWE

Jubileuszowa edycja festiwalu górskiego odbędzie się w dniach 29 listopada – 1 grudnia w Karpaczu. Wielbiciel gór będą mogli obejrzeć filmy poświęcone tematyce górskiej, posłuchać relacji z interesujących wypraw oraz spotkać się i podyskutować z elitą polskiego i światowego alpinizmu oraz z wielkimi gwiazdami sceny wspinaczkowej. W tym roku na festiwalu gościć będą: Leszek Cichy, Denis Urubko, Maria Cardell, Adam Bielecki, Agnieszka Bielecka, Aleksander Lwow, Aleksandra Taistra, Andrzej Marcisz, Magda Lassota oraz Lutz Maurer. W sobotni wieczór zostanie przyznana nagroda Primus Inter Pares dla alpinisty, którego dokonania górskie zasługują na szczególne uznanie.

Dodatkową atrakcją festiwalu będzie sobotni bieg na Śnieżkę, który poprowadzi ultramaratończyk górski Robert Janiec. W tym samym czasie miłośnicy nordic walkingu zostaną zaproszeni przez Paulinę Rutę, prezes Polskiego Stowarzyszenia Nordic Walking, do wspólnego spaceru w góry.

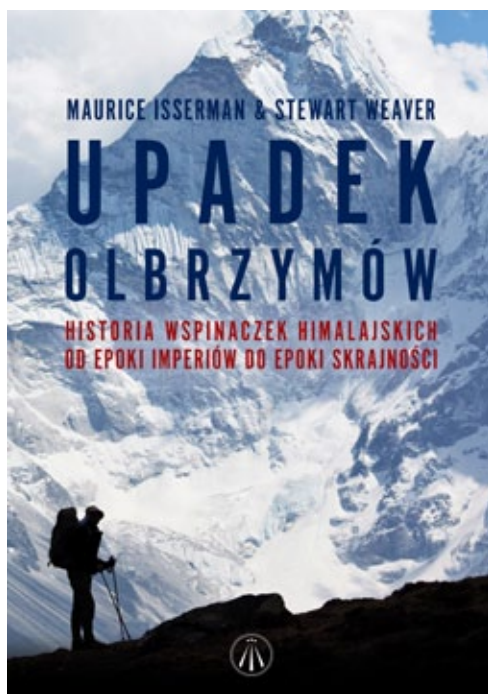
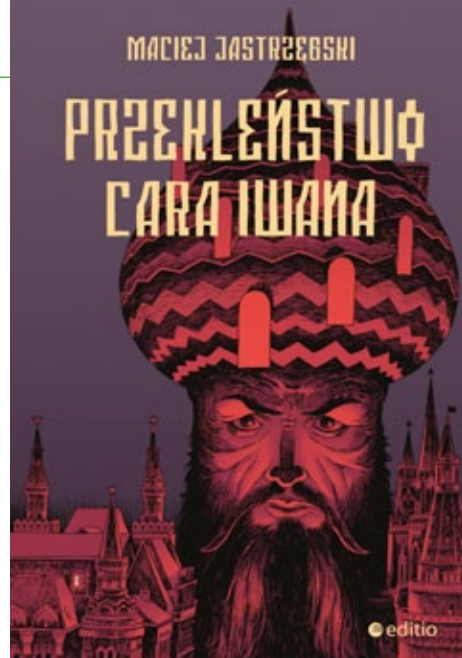
[www.dnilajtowe.pl](http://www.dnilajtowe.pl)



# PRZEKLEŃSTWO CARA IWANA

Stare miasta są pełne historii. Historie starych miast są pełne tajemnic i duchów. Im większe i starsze miasto, tym opowieści ciekawsze, tym tajemnice bardziej intrygujące, tym bardziej niezwykłe duchy. A Moskwa jest bardzo stara, a Moskwa jest ogromna, a w Moskwie na każdej ulicy mieszka jakieś lichy. Kiedy się w takie miasto wsłucha, można czasem usłyszeć, jak ściany domów opowiadają legendy o minionych czasach.

W książce Macieja Jastrzębskiego tropem jednej z takich historii podążają Julia, młoda doktorantka wydziału historii literatury rosyjskiej, i Aleksander, dziennikarz telewizyjny. Wraz z grupą przyjaciół poszukują legendarnej biblioteki najokrutniejszego z carów, Iwana Groźnego. Nie wiedzą jeszcze, że nie są jedynymi zainteresowanymi dotarciem do skrytej gdzieś w moskiewskich podziemiach komnaty i że już wkrótce staną się obiektem zainteresowania sił potężniejszych, niż mogliby sobie wyobrazić. A że jesteśmy w Moskwie, to historia i współczesność, legenda i rzeczywistość przeplatają się ze sobą jak w warkoczu. Wydawnictwo Editio.



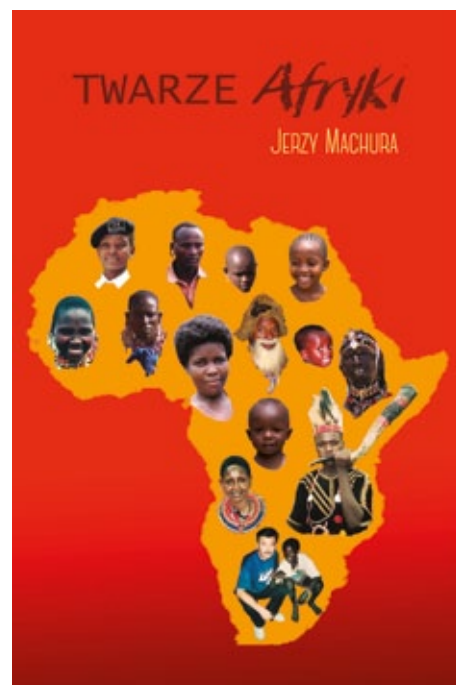
# UPADEK OLBRZYMÓW

Pierwsze udane wejście na Mount Everest sir Edmunda Hillary'ego i jego szwajcarskiego towarzysza, Tenzinga Norgaya, w 1953 r. jest dobrze znanym faktem. Natomiast wiele osób nie zna niesamowitych historii innych śmiałków, którzy próbowali zmierzyć się z najbardziej niebezpiecznymi górami na świecie – Himalajami. W tej z rozmachem opowiedzianej i bogato ilustrowanej książce dwaj historycy, Maurice Isserman i Stewart Weaver, przedstawiają pierwszą od pół wieku niezwykle obszerną, obfitą w szczegóły oraz interesujące fakty historię wspinaczek himalajskich. W powieści znajdują się relacje z najważniejszych wypraw od początku XIX w. Autorzy nie szczędzili także otoczki kulturalno-społecznej, która miała znaczący wpływ na zapoczątkowanie wielu z nich. Wydawnictwo Bez Fikcji.

# TWARZE AFRYKI

Afryka ma różne oblicza: bogactwo natury stanowi tu kontrast z ubóstwem mieszkańców, slumsy znajdują się nieopodal ekskluzywnych hoteli, a pustynny krajobraz jest dopełniony przez zieleń sawanny. W dodatku wszędzie czuje się niezwykłego ducha tego miejsca: w górach, gwiazdach na ciemnym niebie czy w odgłosach dzikiej przyrody, a także w wierzeniach i tradycjach przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

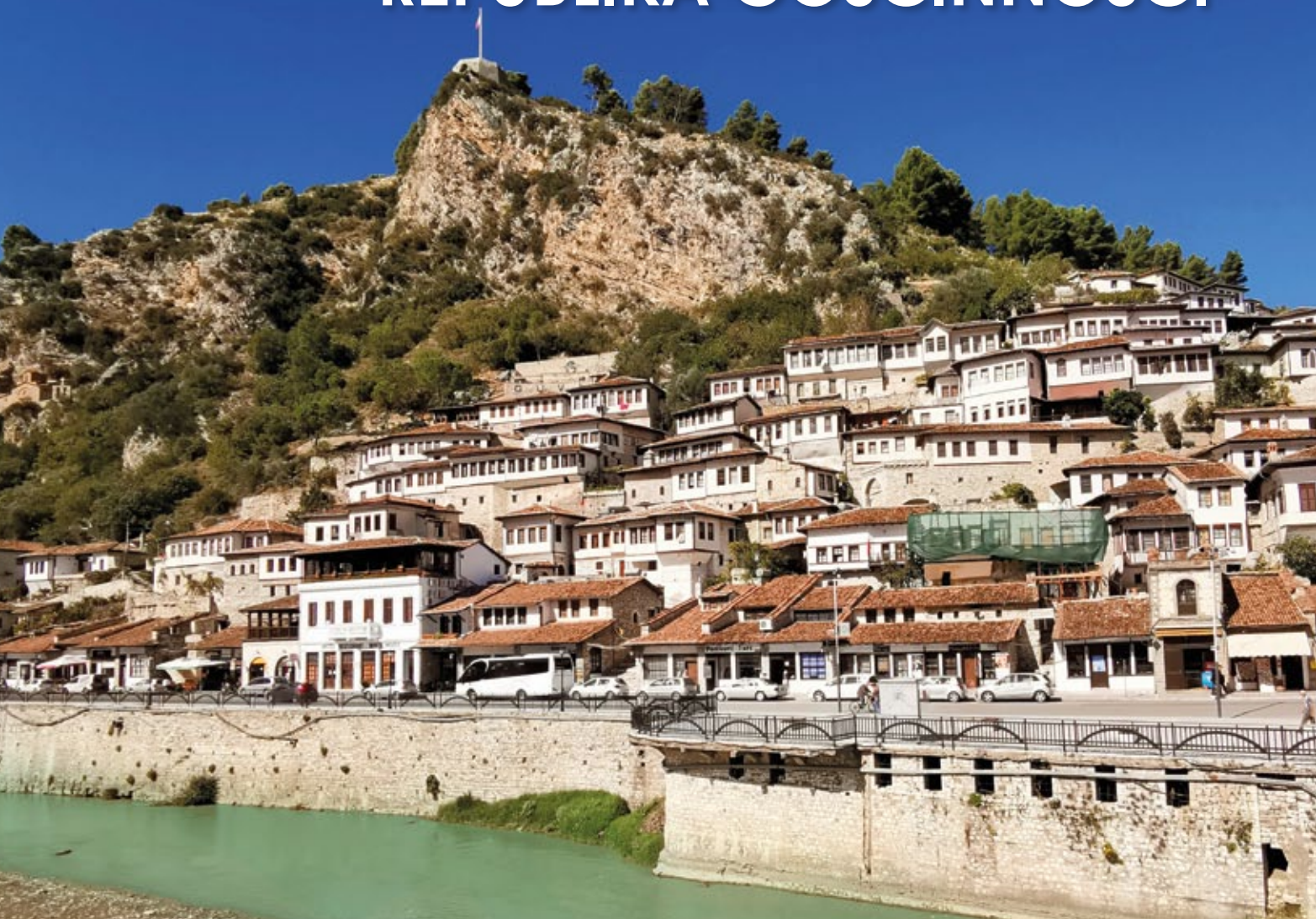
Jerzy Machura w krótkich reportażach niczym w kadrach próbuje uchwycić te sprzeczności – pozostając pod urokiem tego miejsca, unaocznia zarówno jego piękno, jak i brzydotę, sytuacje zaskakujące, niemal oniryczne i własne rozczarowania powstałe na skutek zestawienia wyobrażeń z rzeczywistością. Nie ucieka od prawdy, ale stara się zrozumieć pewne mechanizmy, które kształtują mentalność i zwyczaje mieszkańców tego kontynentu. Uwiecznia obraz Afryki, która ciągle się przeobraża, a która mimo to niezmiennie fascynuje ludzi ją odwiedzających. Wydawnictwo Warszawska Firma Wydawnicza.





# ALBANIA

## REPUBLIKA GOŚCINNOŚCI



Zobacz Albanię z polskojęzycznym przewodnikiem:

## **Xhino Cerova**

**+48 790 335 746**

**+35 569 925 55 29**

**[xhino.cerova@gmail.com](mailto:xhino.cerova@gmail.com)**





Karolina Wiercigroch

# KORNWALIA DLA PIECHURÓW



W tej krainie jazda samochodem to niezwykle doświadczenie. Wąskie, otoczone ścianami gęstego żywopłotu drogi przypominają uliczki zaczarowanego labiryntu. Po zmroku robi się naprawdę baśniowo. To nasz pierwszy wieczór w Kornwalii...







FOT. KAROLINA WERGOŁA

### ISAAC NAD KLIFEM

Białe domy nad rozległym klifem to zabudowania Port Isaac. Od średniowiecza do połowy XIX w. tętnił on handlowym życiem – przeładowywano tu kamień, węgiel, drewno i ceramikę. Dzisiaj większość dochodów miasteczka pochodzi z turystyki.

**P**róbujemy odnaleźć farmę, na której nocujemy. Ponieważ nie ma jej na mapie, podążamy za wskazówkami przesłanymi przez naszą gospodynię, Pat. Niestety, jeden niewłaściwy skręt i odjeżdżamy trochę za daleko. Lekko zaniepokojona Pat szuka nas z latarką w rękę.

Następnego dnia rano śmieje się, że zdajemy sobie trud, żeby zamknąć samochód na klucz: – *Na północy Kornwalii nikt nie zamyka samochodów. Skoro sami nie potrafiliście znaleźć tego miejsca, to jak niby miałby trafić tu włamywacz?*

Pat przyznaje, że uwielbia swoją Kornwalię – dziką, surową, romantyczną. My też szybko się w niej zakochujemy.

### SĄ TEŻ PALMY

To raj dla miłośników przyrody. Region charakteryzuje się bujną roślinnością, bezkresnymi wrzosowiskami i spektakularnym wybrzeżem z klifami, dzikimi plażami i wciśniętymi między skały wioskami rybackimi. Cały Półwysep Kornwalijski, położony na południowo-zachodnim krańcu Wielkiej Brytanii,





cieszy się łagodnym klimatem, ze stosunkowo ciepłym, słonecznym latem. Kornwalia jest bajecznie zielona, słynie z pięknych ogrodów, a na południu rosną nawet palmy. Dobra pogoda sprawia, że angielscy turyści uwielbiają przyjeżdżać tu na wakacje. Na szczęście, poza najbardziej popularnymi kurortami, nawet latem można uniknąć tłumów.

Kornwalia to idealne miejsce dla zapalonych piechurów. Całe wybrzeże można obejść – nadmorskie ścieżki są częścią South West Coast Path, liczącego ponad 1000 km szlaku pieszego z Minehead w hrabstwie Somerset do Poole Harbour w Dorset. Spacery nad oceanem to idealny sposób na zwiedzanie. Wędrując, można zobaczyć portowe miasteczka z charakterystycznymi pastelowymi fasadami i senne rybackie wioski, spróbować świeżych owoców morza w nadmorskich tawernach i obejrzeć zachody słońca wśród malowniczych skał.

Tym razem zakładamy bazę wypadową i będziemy robić wycieczki jednodniowe. Zrealizowanie pierwszej opcji nie stanowi większego problemu. Trudniejszą częścią planu jest dostanie się transportem publicznym w miejsce rozpoczynania wędrowki, na szczęście



autobusy dojeżdżają tu nawet do niewielkich miasteczek. Potem jest już z górki, bo oferta noclegowa i gastronomiczna na wybrzeżu jest bardzo szeroka.

Wynajmujemy uroczy domek na farmie w głębi lądu i wieczory spędzamy, słuchając ciszy pod rozgwieżdżonym niebem. Gdybyśmy chcieli chłonąć typowy klimat wakacyjnej Kornwalii, należałoby zatrzymać się w nadmorskim pensjonacie lub chatce nad morzem i oglądać brytyjskie rodziny na wakacjach, dzieci biegające po plaży z kolorowymi wiaderkami w poszukiwaniu krabów oraz pływających surferów.

### CHATKA Z BOSCASTLE

Wynajęcie uroczonego domku w portowym miasteczku to dla wielu Anglików najlepszy wypoczynek. Coraz więcej z nich decyduje się na spędzanie urlopu w swoim kraju, a łagodny klimat Kornwalii sprawia, że jest ona bardzo popularnym miejscem.



### KOŚCIÓŁ ŚW. MATERIANY

Ten malowniczy kościół na trasie Tintagel – Port Isaac powstał prawdopodobnie pod koniec XI lub na początku XII w., już w czasach panowania Normanów. Jego patronką jest walijska święta, Materiana.



## ZAMEK KRÓLA ARTURA

Jedną z najbardziej znanych atrakcji północnego wybrzeża są ruiny zamku Tintagel – miejsca, w którym historia miesza się z legendami. Pomiędzy V a VII w. ta kamienna twierdza była prawdopodobnie siedzibą władców Kornwalii. Potem zapomniano o niej na około 500 lat, aż Geoffrey z Monmouth, XII-wieczny kronikarz, autor „Historii królów Brytanii”, opisał Tintagel jako miejsce, w którym miał się począć legendarny król Artur. Dzieło zainspirowało pierwszego kornwalijskiego hrabiego, Ryszarda z Kornwalii, do postawienia tu nowego zamku w latach 30. XIII w.

Pozbawiona strategicznego położenia budowla szybko popadła w ruinę i zapomnienie, ale w licznych legendach występowała już jako „zamek króla Artura” – miejsce, w którym mityczny władca się urodził i wychował. Zidentyfikowano też „jaskinię Merlina”, w której miał rezydować potężny czarnoksiężnik. Legendy o królu Arturze są ważną częścią kornwalijskiej tożsamości. Kiedyś wierzono, że Artur żyje pod postacią wróczyka – małego, czarnego ptaszka, który jest symbolem Kornwalii.

### W DRODZE PO FALE

Wybrzeże Kornwalii skrywa ponad 200 malowniczych plaż, więc amatorzy surfowania, jak ci z plaży Trebarwith, mają w czym wybierać. I to przez większą część roku.

Ciekawsze od samych ruin zamku jest ich położenie: postrzępione skały, rozbijające się z hukiem fale i dramatyczne klify. Nawet w słoneczny dzień nietrudno poczuć atmosferę średniowiecznych legend i magii. W mglisty, wietrzny dzień trudno pozbyć się wrażenia, że duch Merlina przechadza się po krętych skalnych stopniach.

Z wioski Tintagel – niewielkiej osady o charakterystycznej kamiennej zabudowie – wyruszamy nadmorskim szlakiem do Boscastle, sennej rybackiej wioski, niecałe 9 km na wschód. Według niektórych jest to jeden z najpiękniejszych spacerów w Kornwalii. Niebieska woda, surowe skały i widowiskowe zatoczki robią niesamowite wrażenie. Na lądzie jest sielankowo: mijamy zielone pastwiska, owce i krowy, bielone fasady domów. W Boscastle przechadzamy się po malowniczym porcie rybackim – naturalnie otwartym zbiorniku, otoczonym dwiema kamiennymi ścianami z końca XVI w. Kiedyś przeładowywano tu wapień, węgiel i stal. Wioska jest owiana atmosferą tajemniczości i magii. Podobno tutejsze czarownice sprzedawały strudżonym marynarzom... wiatr, zaklęty w węzłach żeglarskiej liny. W razie flauty wystarczyło rozwiązać supeł i cieszyć się podmuchem w żagle.



FOT. JAROSŁAW WIERCIGŁOCH



# Lubie to



 Puerto Plata



**Republika Dominikańska**  
**Pełnia wrażeń**

[GoDominicanRepublic.pl](http://GoDominicanRepublic.pl)



### SZKOŁA OTWIERANIA

Świeże ostrygi z Porthilly to jeden z kulinarnych skarbów regionu. Sztuka ich otwierania wymaga wprawy. Szybkich lekcji udziela tu m.in. Katy Davidson, znana jako The Oyster Lady. Organizowane przez nią wydarzenia można znaleźć na Airbnb Experiences.



FOT. KAROLINA WIERCIGROCH

### DWIE SZKOŁY SMAROWANIA BUŁECZKI

Nie decydujemy się na wizytę w Muzeum Magii i Czarnoksięstwa, które wzbudza całym spore zainteresowanie turystów. Zamiast tego siadamy w słonecznym ogródku jednej z licznych kawiarni i zamawiamy typowy kornwalijski przysmak, czyli *cream tea*. Jest to wariacja na temat angielskiej popołudniowej herbaty, z dumą serwowana w Kornwalii i sąsiednim hrabstwie Devon. Uśmiechnięta kelnerka stawia przed nami imbryk z herbatą, obowiązkowy dzbanuszek z mlekiem oraz poczęstunek: świeżo pieczone bułeczki *scones* z rodzynkami, truskawkową konfiturą

i miseczkę *clotted cream* – gęstej, bardzo tłustej i pysznej śmietany.

Są dwie szkoły smarowania *scones* dodatkami: kornwalijska i devońska. Tutaj najpierw nakłada się na przekrojoną bułeczkę warstwę konfitury, potem kleks śmietany. W Devonie odwrotnie – najpierw *clotted cream*, potem konfitura. Spór jest traktowany poważnie i każdy szanujący się Anglik ma na ten temat zdanie. Ja też mam i mimo tego, że bardzo podoba mi się w Kornwalii, preferuję styl z Devonu. Uważam, że trudno rozsmarować gęstą śmietaną na konfiturze, nie robiąc przy tym bałaganu.

Brytyjska kuchnia nie cieszy się zbyt dobrą sławą, kornwalijska – wręcz przeciwnie. Otoczone morzem hrabstwo słynie ze znako-

### Z WŁASNEGO POŁOWU

Na szlaku z Tintagel do Port Isaac warto zajść do małej knajpki *Fresh from the Sea*. Zjemy tam np. kanapkę z mięsem kraba i homara. Wszystkie serwowane tu owoce morza są łowione przez właściciela tego samego dnia.



FOT. KAROLINA WIERCIGROCH

mitych ryb i owoców morza oraz rzemieślniczych wyrobów: serów, konfitur i soli morskiej, cenionej przez szefów gastronomii w całej Wielkiej Brytanii. Oczywiście też zdarzają się puby serwujące tłuste frytki i rozgotowaną marchewkę z groszkiem, ale chyba rzadziej niż w innych częściach kraju.

W portowych miasteczkach znajdziemy mnóstwo kawiarenek i restauracji, w których zjemy sprężyste smażone przegrzebki, mule gotowane w tutejszym cydrze czy grillowaną solę – wszystko lokalne, z porannego połowu. Nawet klasyczne *fish & chips*, przyrządzane ze świeżutkiego dorsza prosto z kutra, smakuje o niebo lepiej niż na ulicach Londynu. Ryba z frytkami, którą zamówiłam w restauracji



FOT. KAROLINA WIERCIGROCH

### PIEROGI NADEJDĄ POCZTĄ

Wypieki z Pengenna *Pasties* to idealna wałówka na piesze wędrówki. Kornwalijskie paszteciki są wypełnione wołowiną z dodatkiem sera *stilton*, baraniną, warzywami lub serem i cebulą. Są cenione w całym kraju – piekarnia wprowadziła nawet możliwość zamówienia pierogów pocztą.



Ricka Steina w Padstow, to chyba moje najlepsze doświadczenie z tą potrawą. Miejsce na kulinarnym podium zajęły też grillowane ostrygi z Porthilly, których próbowałam na plaży w Rock, oddalonego od Padstow o krótką przejażdżkę promem. Do tego pinta bursztynowego ale z rzemieślniczego browaru w Tintagel, a na deser *fudge* – ręcznie robiona mleczna kostka, podobna do naszych krówek.

## W DRODZE DO PORT ISAAC

Następnego dnia wyruszamy z Tintagel w przeciwnym kierunku. Trasa do Port Isaac ma 15 km i jest dużo bardziej wymagająca. W dodatku planujemy pokonać ją tego dnia dwukrotnie – tam i z powrotem. Zamiar brzmi poważnie, kierujemy się więc do Pengenna Pasties, żeby kupić przekąski na drogę. To jedna z najstarszych piekarni w Kornwalii. Działa od ponad 30 lat i specjalizuje się w *pasties* – pieczonych pierogach z kruchego ciasta, tradycyjnej przekąski kornwalijskich górników.

Cynę wydobywano tu już w starożytności, a w czasach rewolucji przemysłowej wydobywanie metali kolorowych stało się filarem lokalnej gospodarki. Złóża wyczerpano pod koniec XIX w., ale *pasties* nadal cieszą się powodzeniem wśród tubylców i turystów. Klasyczne *pasty* jest faszerowane siekaną wołowiną, ziemniakami, brukwią i cebulą. Dzisiaj możemy kupić też bardziej wymyślne wersje: z baraniną i miętą, ziemniakami i szczypiorkiem,

wędzonym łupaczem i *clotted cream*. Dobre *pasty* powinno trzymać ciepło przez cały dzień, co udało nam się potwierdzić: jeszcze po kilku godzinach marszu delectowaliśmy się ciepłymi pierożkami, z widokiem na czarne skały i wzburzone morze.

Trasa do Port Isaac faktycznie okazuje się wymagająca. Zostawiamy za sobą Camelot Castle, luksusowy hotel, który gościł m.in. Winstona Churchilla, i kierujemy się w stronę Trebarwith Beach. Ta część spaceru jest łatwa i przyjemna: piękne widoki i prosta, względnie płaska droga. Co jakiś czas spotykamy spacerujące rodziny z podekscytowanymi przechadzka czworonogami. Szybko dochodzimy do kamienistej plaży. Potem jest równie pięknie, ale coraz bardziej męcząco. Ścieżka co chwilę ostro schodzi nad samo morze, aby zaraz wspiąć się na kolejny stromy klif. Ten odcinek trochę nam się dłuży, ale na końcu czeka zasłużona nagroda: w oddali widzimy białe domy w Port Isaac i niedługo potem przechadzamy się krętymi uliczkami portowego miasteczka.

Siadamy w małej restauracyjce Fresh from the Sea i zbieramy siły na drogę powrotną. Pomaga nam w tym talerz z pieczywem, kornwalijskim masłem i świeżym krabem, złowionym tego samego ranka przez właściciela, który codziennie wypływa łodzią po nową dostawę.

Wieczorem ze szklaneczką Arthur's Ale z naszego ulubionego browaru w Tintagel planujemy dalsze wędrówki. W Kornwalii jest jeszcze wiele tras do odkrycia. ○



**Karolina Wiercigroch**

Dziennikarka i fotografka kulinarno-podróżnicza. Zajmuje się tworzeniem przepisów oraz opisywaniem jedzenia i kultury. Absolwentka dziennikarstwa i italianistyki na Uniwersytecie Warszawskim.



### FIVE O'CLOCK

Herbaciarnia Harbour Light Tea Garden w porcie rybackim Boscastle. Podawana tu herbata tregothnan jest uprawiana w Kornwalii, niedaleko Truro, w pierwszej plantacji tej rośliny na terenie Wielkiej Brytanii.





# PRAWO DO PODRÓŻY

PH. SHUTTERSTOCK

## Czyli jak odczytałam wiadomość sprzed 140 lat.

**E**nnis w stanie Montana. Otulone przez Góry Skaliste miasteczko, które moment świetności ma dawno za sobą. Była nim gorączka złota, jaka wybuchła tu w 1863 r. Dziś po jakimkolwiek rozgorączkowaniu nie ma śladu, życie kilkuset mieszkańców toczy się niespiesznie przy Main Street, co nie jest niczym niezwykłym (w USA miasta nie mają centralnych placów, tylko główne ulice). Przy asfaltowej drodze, po której hula wiatr, przycupnęły sklepiki i bary, wczesną jesienią właściwie puste. W jednym z nich zjadłam chyba najlepsze śniadanie w życiu: jajka sadzone na kruchym boczkku z tartymi smażonymi ziemniakami i stosem naleśników z syropem klonowym (Amerykanie mają za nic rozdział słodkiego i słonego. Wybierają najlepsze kaski ze światowej kuchni i łączą je w dowolny sposób). Całość podlałam wielkim garem kawy (w cenie nieograniczone dolewki). Tak pokrzepiona wyszłam na zewnątrz, minęłam zamknięty bank,

przed którym przeżył się gipsowy jeleń, i weszłam do składu staroci, zwanego szumnie Antiques.

Uwielbiam takie miejsca: nie ma lepszej lekcji na temat lokalnej kultury. Gdzieś między indiańskim rękodziełem, bujanym fotelem i spranymi kowbojskimi koszulami wpadła mi w ręce nieduża książeczka w brązowej okładce. Tytuł: „Ragged register”, czyli „Obdarty spis”. Spojrzałam na rok wydania: 1879, Nowy Jork. W skali USA to naprawdę antyk! Nazwisko autorki – Anna Dickinson – nic mi nie mówiło, dotąd znałam tylko Emily. Lekko pożółkły papier wydawał się w świetnym stanie, upewniłam się więc, że nie jest to wznowienie. Wszystko wskazywało jednak, że książkę rzeczywiście wydrukowano 140 lat wcześniej. Zaczęłam czytać. Od pierwszych zdań język wydał mi się zaskakująco współczesny, a obserwacje bardzo aktualne.

Książka okazała się zbiorem zapisków z podróży, jakie autorka odbyła na terenie

Stanów Zjednoczonych. Podtytuł mówił, że to spis „ludzi, miejsc i opinii”. I rzeczywiście, każdy krótki rozdział to wybrane scenki z różnych miejsc, które odwiedziła autorka. Po kilku pierwszych zastanawiałam się, jak to możliwe, że ich rozrzut jest tak szeroki. Anna przejechała całe Stany, raz pisze o Nowym Jorku, raz o Montanie, raz o San Francisco. To spore osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że podróżowało się wtedy koleją albo powozem. Niemniej dziwi, że te wszystkie XIX-wieczne podróże odbyła kobieta, często samodzielnie. I właśnie ten kobiecy aspekt w relacjach Anny jest najciekawszy.

Szybkie śledztwo w Wikipedii i dowiedziałam się więcej o Annie. Pisarka, wykładowczyni i mówca (mówczyni?). Zagorzała przeciwniczka niewolnictwa, walczyła o prawa kobiet, dając najlepszy przykład, że można żyć inaczej niż w domu z gromadką dzieci. Była pierwszą kobietą, która wystąpiła przed Kongresem USA. Niestrudzona podróżniczka



i wspinaczka, jako pierwsza biała kobieta zdobyła szczyty Kolorado: Grays Peak, Lincoln Peak i ponad czterotysięczny Mount Elbert (ten ostatni na mule). Miała za sobą nawet epizod aktorski, grała Hamleta na Broadwayu.

Dowcip, inteligentne spostrzeżenia i niesamowite przygody dają złudne wrażenie, że życie Anny nie odbiegało od współczesności. A przecież to nieprawda. W tamtych czasach kobiety miały niewiele praw, także w podróży, o czym Annie często przypominało. W jednym z rozdziałów opisuje, jak woźnica nie pozwolił jej zająć miejsca obok siebie (Anna lubiła podróżować na zewnątrz powozu, z dobrym widokiem). Przestrzegając nakazu, jaki wydano po pewnym wypadku, rzekomo spowodowanym przez rozprasające babskie gadanie. Urażona Anna odmówiła przejazdu w ogóle i przeszła 22 mile na piechotę, co naturalnie wpędziło woźnicę w panikę.

Innym razem pewnej srogiej zimy Anna utknęła w wiosce odciętej od świata przez śnieżne zasy. Wieczorem miała dać wykład w Nowym Jorku. W mieście nikt nie chciał słyszeć o tym, aby zawieźć ją na pociąg, ale Anna się uparła i wrodzoną dyplomacją oraz sowitymi napiwkami dopięła swego. Jej podróż przypominała tor przeszkód. Po 13 godzinach głodna, zziębnięta i spóźniona wpadła do sali wykładowej. Publiczność przyjęła jej wystąpienie z aplauzem, ale w korytarzu Anna podслуchała krytyczne komentarze. Ktoś zarzucał jej, że się spóźniła, bo za długo przesiadywała przed lustrem, nie dbając o zawodowe zobowiązania. Mężczyzna na pewno by sobie na to nie pozwolił. Anna się zgodziła: mężczyzna w taką pogodę po prostu w ogóle nie ruszyłby się z domu.

Gdzieś spomiędzy zabawnych przygód i błyskotliwych myśli przebija w książce gniew i smutek, że kobiety są traktowane niesprawiedliwie. Choć Dickinson żyła w Ameryce, kraju wolności, odkrytym zresztą przez podróżniczych pionierów, w swoich czasach była odszczepieńcem. W końcu uznano ją za obłąkaną i zamknięto w szpitalu (Anna wytoczyła potem proces o zniesławienie i uprowadzenie). A jednak jak na swoją epokę zaznała wyjątkowej swobody i przestrzeni.

Myślę o tym, jak kiedyś żyło się moim babkom i prababkom. Przyszło nam żyć w zupełnie innych światach, i to wcale nie

z powodu sytuacji politycznej, ale – tradycji i społecznej presji. Niedługo kobiety spędzały życie przywiązane do swoich rodzin. Najdalszą podróżą była dla nich przeprowadzka do domu męża. Za granicę wybrała się dopiero moja babcia (jedna), już jako emerytka, w celach pielgrzymkowych. Na tym podroże zakończyła.

Ja mam lepiej. Cieszę się niemal absolutną wolnością. Niemal, bo od kiedy zostałam mamą, regularnie czuję na sobie krytyczne spojrzenia, ilekroć postanawiam wyjechać dokądś bez dziecka. Kiedy pojawiła się możliwość, abym zamieszkała poza krajem, posypały się słowa krytyki i pytania: „A co na to mąż?”. Odwrotnego pytania żonom wyjeżdżającym

za mężem nikt raczej nie zadaje. Ale zamiast żalu czuję ogromną wdzięczność. To dzięki takim niepokornym duszom jak Anna mogę dziś przemierzać świat. A jeśli komuś będzie to nie w smak, odeślę go do jej książki. Jedną będę mieć zawsze przy sobie. ○

#### Magdalena Żelazowska

Dziennikarka, pisarka, blogerka.

Od lat w bliższych i dalszych rozjazdach, w które zawsze zabiera notatnik. Jest autorką powieści „Zachlanni” i „Hotel Bankrut”.

Ostatnio napisała książkę „Rzuć to i jedź, czyli Polki na krańcach świata”. Prowadzi blog podróżniczy [www.zgubsietam.pl](http://www.zgubsietam.pl).



**Audycja dla ludzi ciekawych świata.  
W każdą sobotę od 9:00 do 12:00.**

**ODKRYJ W SOBIE PODRÓŻNIKA**

R E K L A M A



Leży tam, gdzie Biała uchodzi do Dunajca.  
W jego herbie jest sześcioramienna  
gwiazda, a pod nią półksiężyc. Był kiedyś  
ważnym punktem handlowym i jednym  
z najważniejszych miast na galicyjskim szlaku.  
Dla przyjeżdżających z zachodnich terenów  
Polski jest bramą do Podkarpacia. Tarnów.



Tymoteusz Bajor

# I WSZYSTKO DZIEJE SIĘ W SWOIM CZASIE...





inaczej jest w przypadku naszego Tarnowa – prawdopodobnie pierwsi osadnicy tworzyli osadę na takim właśnie terenie.

Miasto jest dobrze skomunikowane zarówno z Krakowem, jak i Rzeszowem. Leży niemal pośrodku drogi między nimi. Dla osób podróżujących koleją jego zwiedzanie zaczyna się już od momentu wyjścia z wagonu, bo sam dworzec jest ozdobiony z rozmachem. Projektant nakrył budynek mansardowym dachem, w głównej poczekalni zawiesił złote żyrandole i obrazy, część zaś poczekalni pierwotnej odrestaurowano w barokowym stylu, tworząc przejścia i salki oddzielone ścianami z ciemnego drewna i szyb.

## BYŁ SOBIE ZAMEK

Powstanie miasta datuje się na wczesne średniowiecze, co koreluje z okresem budowy zamku. Zamek, a w zasadzie jego ruiny, znajdują się ok. 3 km od centrum. Warownia jest położona na Górze św. Marcina, która ma 303 m n.p.m. Dotarcie na sam szczyt nie jest łatwe, a na finiszu idzie się wąską, błotnistą dróżką. Ale dotarłem! Wiało, nawet bardzo. Widok przepiękny – na Tarnów i na niewielkie wzgórze. Jak na dłoni widać całą okolicę.

Założyciel, Spicymir Leliwa, dobrze wybrał miejsce pod swój dom. To on w 1328 r. zapoczątkował budowę zamku, był również pierwszym ogniwem w powstającym rodzie Tarnowskich (który wziął nazwę od miasta). Obecnie zamek to kilka murów odkrytych

**N**azwa miasta nie jest wyjątkowa. Dotyczące jej kalki językowe możemy spotkać na Słowacji, w Słowenii i Serbii, w Niemczech czy nawet odległej Grecji. Nazwy oscylują pomiędzy Tarnov a Tarnua – zależy w jakim języku. Wszędzie, gdzie osiedlali się Słowianie, występowało to określenie, oznaczające obszar porośnięty gęstą, kolczastą roślinnością. Nie





### WIEŻA UPŁYWAJĄCEGO CZASU

Ratusz należy do pierwszych w Polsce budynków w stylu manierystycznym. Dawniej, oprócz siedziby władz miejskich Tarnowa, znajdowało się w nim więzienie. Teraz w budynku mieści się muzeum, a czas mieszkańcom odmierza XVII-wieczny zegar z ratuszowej wieży.

podczas badań archeologicznych w XX w. Kiedyś był to jeden z największych zamków średniowiecznej Polski. Warownię w czasach swojej świetności odwiedzali i Kazimierz Wielki, i Władysław Jagiełło.

Początek upadku datuje się na XVIII w., ale pierwsze oznaki nadchodzącej klęski zaczęły pojawiać się wiek wcześniej. Już wtedy duża część drewnianych elementów była w bardzo złym stanie. W końcu, w 1747 r., ówczesny właściciel zamku, Aleksander z rodu Sanguszków, pozwolił osiedlającym się w okolicy ojcom bernardynom na wykorzystanie budulca z warowni. Ojcowie zabrali cegły i kamienie z murów popadającej w ruinę budowli i wzniesli kościół oraz klasztor Podwyższenia Krzyża Świętego. Teraz kościół mieści się w centrum miasta, a zamku już w zasadzie nie ma.

### CAFE TRAM ORAZ POLSKI EDISON

Tarnobrzeg nie jest wielkim miastem, wszędzie spokojnie można dojść pieszo, bez korzystania

z komunikacji miejskiej. Niegdyś ulice zamiast autobusów przemierzał tramwaj, który działał przez 31 lat – do 1942 r. Dzisiaj po miejskim transporcie szynowym pozostały tylko czarne pasy z kostki na głównym deptaku oraz... tramwajokawiarnia. W Cafe Tram można wypić pyszną, świeżo mieloną kawę oraz rozsmakować się w serniku, siedząc na oryginalnych drewnianych siedzeniach i patrząc na pobliski pl. Sobieskiego z za okien tramwaju.

Linie tramwajowe bezpowrotnie zniknęły z miejskiego krajobrazu, ale na przykład na ul. Wałowej znajduje się pamiątkowy przystanek – replika oryginalnego z epoki. Do dzisiaj w centrum miasta na niektórych budynkach można dostrzec rzeźbione ceramiczne zaczepy na dawną trakcję.

Gdy idzie się od pl. Sobieskiego w dół ul. Sowińskiego, uwagę przykuwa budynek z wieżyczką oraz głową kobiety nad wejściem. To żona znakomitego wynalazcy, Jana Szczepanika. Ziemia tarnowska wydała wiele wybitnych osób. Dla mnie numer jeden na tej liście to właśnie on, nazywany: „polskim Edisonem”,





## BIEDRONKA

Ten oryginalny tramwaj, który przemierzał miasto w czasach Galicji, jest dzisiaj kawiarnią. Nazywa się Cafe Tram, ale miejscowi mówią na niego „biedronka”.

„geniuszem z Galicji” czy „galicyjskim Leonardem da Vinci”. Jan Szczepanik był samoukiem, który opatentował ponad 50 wynalazków. Świat zawdzięcza mu m.in.: telektroskop (protoplastę dzisiejszej telewizji), technologię barwnego tkania i system barwnego filmu, fotometr oraz kamizelkę kuloodporną. Dzięki temu ostatniemu wynalazkowi król Hiszpanii Alfons XIII ocalił życie w zamachu terrorystycznym. Przyniosło to Szczepanikowi sławę i prestiż.

Kolejną wyjątkową persona z tarnowskim rodowodem to bohater Polski i Węgier, gen. Józef Bem. Brał udział w powstaniu listopadowym i Wiosnie Ludów, a gdy ta upadła, powędrował do Turcji. Potem dotarł do Aleppo, gdzie chciał rozkręcić własną fabrykę materiałów wybuchowych. Tam dokonał żywota. Jego prochy znajdują się w pięknym mauzoleum na wyspce pośrodku stawu w parku Strzeleckim. W Muzeum Okręgowym, mieszczącym się w renesansowym ratuszu na rynku, można oglądać ocalałe szczątki panoramy przedstawiającej wojenne potyczki Józefa Bema.

Na rynku, oprócz obowiązkowej fontanny, jest jeszcze jedno ciekawe miejsce: pasaż Tertila, którego nazwa wzięła się od nazwiska wieloletniego burmistrza miasta. Jest to wąskie przejście pomiędzy dwiema ścianami budynków, na uboczu, z dala od gwarnych knajpek, które pozwala zanurzyć się w zupełnie innych światach.

## DAWNY DUCH MIASTA

Od pasażu zszedłem po kilkunastu stopniach Wielkich Schodów. Już z oddali widziałem drewnianą bryłę kościółka. Jednak najpierw minąłem miejski bazarek. Ktoś sprzedawał orzechy, kwiaty, warzywa, dla amatorów krakowskich obwarzanków też by się coś znalazło. Na pobliskim skwerze nad potokiem Wątokiem wypoczywali emeryci. Ja też się nie spieszyłem, pomału przeszedłem przez kamienną bramkę oraz murek

## PAN ROMAN

Poeta, pisarz, tłumacz literatury hebrajskiej – bardzo zasłużona osoba, czyli pan Roman Brandstaetter. Pojawił się nawet pomysł nominowania go do literackiej Nagrody Nobla, ale przekreśliła to jego nagła śmierć.







FOT. T. WOLCZESZ-BALCÓR

### ŚWIĘTY SPOKÓJ

W pobliżu gwarne targowiska znajduje się stary, drewniany kościółek jak ze skansenu. Do tego łąka, rzeka i leciwe lipy, które dają upragniony cień. Mieszkańcy wpadają tutaj po chwilę wytchnienia.

ogradzający kościół NMP Wniebowziętej i siedłem pod rozłożystą lipą, na której urzędowało stadko sikorek. Chwila wytchnienia. Kościółek jak ze skansenu, choć położony w środku miasta. Cały drewniany, kryty gontem, a od frontu wieżyczka z małym dzwonem. Chciałem wejść do wnętrza, ale pani opiekująca się parafią akurat myła podłogę i absolutnie zabroniła mi niszczenia jej pracy.

Vis-à-vis kościoła znajduje się piękny, najstarszy w Tarnowie cmentarz. Oprócz grobu Jana Szczepanika można tu wypatrzeć perełki



FOT. T. WOLCZESZ-BALCÓR

sztuki sepulkralnej. Nagrobki reprezentują różnorodne style, tworząc niezapomniany klimat tego miejsca. W dwóch wyróżniających się kaplicach zostali pochowani przedstawiciele dawnej mieszczańskiej elity, m.in. Radzikowscy.

Po powrocie do ścisłego centrum miasta ruszyłem na dalsze odkrywanie miejsc sakralnych. Ponad siedemdziesięciometrową wieżę katedry tarnowskiej widać już z daleka. Obok – ciekawe Muzeum Diecezjalne, najstarsze tego typu w Polsce. Założył je w 1888 r. ks. Józef Bąba. Zawiera podobno bardzo interesujące zbiory – dwa razy próbowałem je obejrzeć, niestety, za każdym razem było zamknięte.

Całe otoczenie katedry przypomina Złotą Uliczkę w Pradze. Niskie domki, jeden z nich to dom Mikołajowski, czyli dawna filia Uniwersytetu Jagiellońskiego, kilka mrocznych zaułków i kolejne przejście pomiędzy murami ze starej cegły – tworzą wyjątkową aurę miejsca.

Tarnów był miastem wielokulturowym. Oprócz Polaków koegzystowali tu od wieków Żydzi oraz Cyganie. Związane z Romami Muzeum Etnograficzne odwiedziłem jako pierwsze. Mieści się w starym dworku, przy głównej ulicy. Jest to jedyne w Polsce muzeum opowiadające historię Romów (podobne jest dopiero w czeskim Brnie). Przedstawia ich dzieje i kulturę w Polsce i Europie. Sporo przestrzeni poświęcono też prześladowaniu Cyganów, a także ich twórczości artystycznej. Cała wystawa jest przetłumaczona na język romski oraz angielski. Na podwórzu stoi kilka barwnych wozów cygańskich. Latem są organizowane przejażdżki tradycyjnym taborem ciągniętym przez konie, ze śpiewem i wróżeniem z kart.

O ile z romskiej kultury coś jeszcze zostało, to żydowska niemal zupełnie wyginęła. Wychodzę z Muzeum Etnograficznego, wspinam się w okolice rynku i bocznymi uliczkami docieram do biny, dziś trwałej ruiny po zniszczonej synagodze. Czytając różne opisy Starej Synagogi w Tarnowie, możemy dowiedzieć się, że powstała w XVII w. i gdyby zachowała się do naszych czasów, byłaby jedną z najbardziej okazałych w naszym kraju. Została przez Niemców zmaltretowana – dwukrotnie trawiona przez płomień i na koniec wysadzona w powietrze. Cudem przetrwały cztery





FOT. SHUTTERSTOCK

słupy oraz niewielki fragment sklepienia, przykryte daszkiem zabezpieczającym przed warunkami atmosferycznymi.

## PODWÓRKA I ZAUŁKI

Wokół bimy znajduje się wyłożony ceglami plac. Kamieniczki w okolicy są wyjątkowo fotogeniczne, a to za sprawą pozornego nieładu i nadgryzienia zębem czasu. Na murkach siedziało kilka osób. Mama sprawdzała coś na telefonie, a jej córeczka wesoło ganiała za pieskiem. Na jednej z ławek siedział nieruchomo pan i wpatrywał się w przestrzeń. Nie spieszył się, ani razu nie wziął do ust zapalonego papierosa. Dymek lekko unosił się w powietrzu. W pomiętej nylonowej siatce miał pszenny chleb i pomidora. *Genius loci* Tarnowa: z jednej strony tętniące życiem miasto, z drugiej – spokój i zakątki skłaniające do głębszej refleksji.

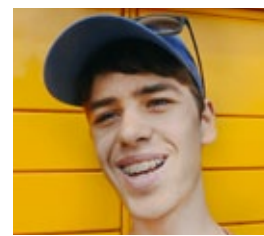
Podwórka i zaułki to jedna z tych rzeczy, za które pokochałem to miasto. Nie ma przepisu ani dokładnego planu, jak je zwiedzać. Po prostu trzeba chodzić i mieć oczy szeroko otwarte.

Szukać przejść, wąskich ścieżek, wyjątkowych bram. Kilka razy udało mi się strzelić w dzięsiątkę. Znalazłem np. niezwykle klimatyczne miejsce ze starym modrzewiem i żółtym blokiem. Potem ponure i ciemne podwórko rozpoczynające się trochę obskurnym tunelem, a kończące betonowym patio z doniczkami i kwiatami, otoczonym przez wyblakłe szare mury. Także, tuż za placem z bimą – ciekawe kamieniczki z gołębnikami na dachu. Miasto obfituje w takie miejsca.

Spacerowałem już dłuższy czas, w końcu dotarłem na pl. Rybny. Tam, na skrzyżowaniu, spokojnie obserwował życie Roman Brandstaetter, a właściwie jego popiersie. Był poetą pochodzenia żydowskiego, wybitnym znawcą Biblii oraz tłumaczem z języka hebrajskiego. Za swoją działalność otrzymał wiele nagród. Miło było patrzeć, jak pan Roman, spoglądając przez ramki okularów, zdaje się mówić cytatem wypisanym na własnym pomniku: „Nic się nie dzieje przedwcześnie, i nic się nie dzieje za późno, i wszystko się dzieje w swym czasie, wszystko...”. ◉

## FILARY PAMIĘCI

**Tarnowska bima to wspomnienie tego, jak kiedyś wyglądała tutejsza synagoga. Była piękna, sporych rozmiarów, a sufit miała pokryty licznymi zdobieniami. Po koszarze wojny uchowały się zaledwie jej cztery filary.**



**Tymoteusz Bajor**

Z pasji podróżnik i fotograf. Pracuje jako twórca i edytor video. Eksploruje głównie Polskę, jego ulubione miejsce to konurbacja śląska. W wolnym czasie uczy się kolejnych języków obcych. Twórca bloga: [timothy-travel.pl](http://timothy-travel.pl) oraz podcastu Travel Eter.





# NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady





## SEROWY WYPAD

Przy okazji pobytu w Tuluzie lub Montpellier warto odwiedzić miejsce wyrobu tradycyjnych, ostrych serów pleśniowych – urokliwe Roquefort-sur-Soulzon. Miasteczko liczy niespełna tysiąc mieszkańców, jednak każdego roku jest odwiedzane przez wielu turystów. Powodem są znajdujące się w okolicy wapienne Jaskinie Cambalou, w których dojrzewa wyjątkowy i niepowtarzalny owczy ser roquefort. Jego nazwa jest zastrzeżona i można go produkować wyłącznie w miejscowych grotach wedle ścisłych wytycznych. Jedna z kilku firm mających prawo do produkcji tego sera umożliwia zwiedzanie miejsca wytwarzania swoich cennych wyrobów. Wycieczka po Société Caves trwa około godziny i kosztuje 7 euro. Podczas zwiedzania goście mogą poznać historię sera (wedle legendy został odkryty zupełnie przypadkowo), a także zobaczyć niektóre etapy produkcji oraz skosztować jego różnych odmian, których jest w sumie siedem.



FOT. CHRISTOPHE FNOT – WMPEDA



43°58'N 02°59'E

Okolo dwie godziny drogi samochodem z Tuluzie lub Montpellier.

## Single dla każdego

Doskonale przygotowane i wyprofilowane, wąskie, jednokierunkowe ścieżki wijące się w lasach Gór Izerskich – tak prezentują się singletracki w okolicach Świeradowa-Zdroju. To dwa kompleksy tras: polsko-czeskie ścieżki rowerowe Singletrack oraz Singletrack pod Smrkem. Wybierając się na nie, warto wziąć pod uwagę poziom zaawansowania danej trasy – to pomoże dobrać skalę trudności do indywidualnych możliwości. Ścieżki są przeznaczone do dynamicznej jazdy, ale są bezpieczne. Ich nachylenie nie przekracza 5 proc. Cała sieć ścieżek oferuje blisko 100 km jazdy, począwszy od zielonej trasy odpowiedniej dla początkujących rowerzystów oraz małych dzieci, kończąc na trudnej czarnej ścieżce singletrackowej.



Świetnym miejscem na intensywną regenerację po sportowych wyczynach jest Cottonina Hotel & Mineral SPA Resort. To hotel dla aktywnych, dający wiele okazji do pielęgnowania więzi z naturą. Miłośnikom jazdy na rowerze oferuje dodatkowe udogodnienia: posiłki dla sportowców, myjnię rowerową, wypożyczalnię i przechowalnię sprzętu, rowerowe foteliki dziecięce czy samopompującą stację naprawczą. Hotel oferuje także pakiety pobytowe uwzględniające potrzeby



dietetyczne z odnową biologiczną i pielęgnacją ciała, m.in. pakiet Bike Friendly, Active Men SPA, Fit Lady czy Eco SPA dla wegetarian i wegan.

[www.cottonina.pl](http://www.cottonina.pl)

[www.facebook.com/cottonina](https://www.facebook.com/cottonina)



50°54'N 15°20'E

Okolo dwie godziny drogi samochodem na zachód z Wrocławia autostradą A4, następnie drogą krajową 364.



Pięć miejsc w Europie według Wirtualnej Polski, które najpiękniejsze są właśnie jesienią.



## Polska Bieszczady

**N**asz kraj w jesiennej szacie prezentuje się wyjątkowo pięknie. Duże połacie lasów, skoszone łąki, zaorane pola i zagubione w tym pejzażu wioski tworzą piękny, relaksujący obraz. Jeśli jednak chcemy zobaczyć jesień w jej najpiękniejszej odsłonie, powinniśmy pojechać w Bieszczady. Te malownicze góry zachwycają o każdej porze roku (choć w ostatnich sezonach letnich tracą swój dziki charakter), ale najlepszy czas na ich

przemierzanie zaczyna się pod koniec września. Wówczas szlaki pustoszeją, a lasy pokrywane wzniesienia zachwycają bogactwem barw.



49°16'N 22°31'E

Okolo cztery godziny drogi samochodem z Krakowa trasą E40.

## Rumunia Transylwania

**R**umuńska kraina gór, zamków i wampirycznego hrabiego Drakuli coraz chętniej jest odwiedzana przez polskich turystów. Większość przyjeżdża tu latem, ale jeśli mamy możliwość wyjechać na urlop jesienią, odkryjemy Transylwanię w całym jej mrocznym pięknie. Choć lasy pokrywające góry zachwycają barwami, to typowa dla tego regionu jesienna aura – pochmurne niebo i zalegające w dolinach mgły – doskonale współgrają z legendą o sławnym wampirze. Niezapomniane widoki jesienniej Transylwanii odkryjemy, podróżując Trasą Transfogarską, wędrując po mrocznych Karpatach czy zwiedzając tutejsze zamki. Na szczególną uwagę zasługują te w Hunedoarze, w Branie czy pałac Peleş w mieście Sinaia.



46°10'N 25°13'E

Loty bezpośrednie z Warszawy do Kluż-Napoki (2 godz.).





## Włochy Toskania

**L**ato w Italii to wakacje z serii ekstremalnych. Tłumy turystów i upały nie pozwalają w pełni docenić uroku tego pięknego kraju. Jesienią jest tu spokojniej, taniej, temperatury bardziej sprzyjają zwiedzaniu, a przyroda wciąż zachwyca. Najlepszym miejscem na kontemplowanie włoskiej jesieni jest Toskania. Zwykle do tego regionu jedziemy podziwiać miasta – Florencję, Pizę czy Sienę. Warto jednak zarezerwować także kilka dni na odpoczynek na tokańskiej wsi. Spacer po pokrytych czerwonymi liśćmi winnicach, kieliszek wina i wyborne jedzenie serwowane w takiej scenerii to kwintesencja leniwych jesiennych wakacji.



43°46'N 11°14'E

Loty bezpośrednie z Warszawy do Pizy (2 godz.).



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK

## Irlandia Park Narodowy Killarney

**P**ark zajmuje ponad 10 tys. ha. Niższe stoki są porośnięte lasami dębowymi, które pozostały po dawnej puszczy. Rośnie tu także czysty gatunkowo las cisowy, jeden z trzech w Europie. Łagodny klimat sprawia, że w parku występują egzotyczne gatunki, wprowadzone przez człowieka, np. rododendrony czy drzewa poziomkowe. Jesień można podziwiać, wędrując po szlakach, podróżując bryczką czy pływając łódką po jeziorach.



52°00'N 09°33'W

Loty bezpośrednie z Warszawy do Dublinia (2,5 godz.), następnie cztery godziny drogi samochodem do miejsca docelowego.

## Wielka Brytania

**B**y zachwycić się pięknem jesieni, wystarczą dwa dni w londyńskich parkach. Pokryte kolorowymi liśćmi drzewa i krzewy oraz grządki pełne jesiennych kwiatów z pewnością pozwolą nam spojrzeć na tę porę roku przychylniej. Chyba najpiękniej jednak prezentuje się ona w Szkocji. Szczególnie jeśli wybierzemy się w region znany fanom filmu „Braveheart”, czyli Highlands. Dzika, górzysta kraina o tej porze roku pyszni się zielenią, złotem i czerwienią, oferując nielicznym gościom zapierające dech widoki.



53°50'N 02°25'W

Loty bezpośrednie z Warszawy do Londynu (2,5 godz.), następnie z Londynu do Inverness (1 godz.).



FOT. SHUTTERSTOCK





# MORAWY WINEM PŁYNĄCE

Mateusz Żemła





FOT. JAN MIKULIN

Zapytany o morawsko-czeskie relacje Ivo Kanovsky, szef marketingu winnicy Zamecke Vinarstvi w Bzencu, odpowiada anegdotą: „Dwóch Morawiaków siedzi w piwniczce i próbuje, jak się wino udało. – O, to dobre, to zostawimy dla siebie. To może być, na eksport pójdzie. – A to? – Eee, to nie wyszło, dla prazaków będzie”.





**T**rudno o bardziej zwięzłe zobrazenie morawskiej odrębności. Bo to owszem i inny język, i deklaracje narodowościowe w spisie powszechnym, i historyczna tradycja swoistego rozdziału od „właściwych” Czech, od których nazwę wzięła Republika Czeska. Ale żeby zaraz separatyzm? Walka o niepodległość? To nie Bałkany czy Kaukaz, ale Europa Środkowa. W swojej rozważnej, nie romantycznej wersji. Z prażaków można się co najwyżej dobrodusznie pośmiać, byle nie za bardzo, bo się obrażą i wino przestaną kupować, a to byłby poważny cios dla ekonomii południowomorawskich wsi i miasteczek. Choćby





wspomnianego Bzenca, gdzie tylko jedna, największa winnica produkuje pięć milionów butelek rocznie, czyli lekko licząc, tysiąc na mieszkańca miasteczka, a trzeba doliczyć pomniejsze firmy tudzież przydomowe winniczki, zaspokajające głównie własne potrzeby.

## RAJSKIE STOKI

O ile każde morawskie dziecko wie, że tajemnicę produkcji tego dziwnego kwaśnego soku, który tatuś jesienią wyrabia w piwnicy, przywieźli stacjonujący tu w II w. rzymscy legionieści, to dla przeciętnego Polaka już samo skojarzenie terenu Republiki Czeskiej z winem jest



absurdem. Jakie wino? Panie, daj pan spokój. Wiadomo, że Czesi tylko piwo piją. Otóż czeskie spożycie wina na głowę jest sześciokrotnie wyższe niż w Polsce, a południowe Morawy, leżące na tym samym, 49 równoleżniku, co Alzacja, są cenionym, choć u nas zupełnie nieznanym regionem winiarskim. Zresztą – postawmy sprawę jasno – w ogóle Morawy są dla Polaków *terra incognita*. Jeździmy, owszem, do Pragi, do Cieszyna, do Harrachova pokibicować skoczkom, ale na Morawy? W najlepszym razie mijamy tranzytem w drodze na Chorwację, w szaleńczym pędzie, bo all inclusive opłacone i się będzie marnować.

Swoistą tranzytową zmorą było niegdyś Znojmo. W latach 90. chyba każde polskie biuro organizujące wyjazdy na południe kwaterowało grupę na nocleg w tym położonym tuż przy austriackiej granicy miasteczku. Wspomnienia? Postrobotniczy hotel i lokalna piwiarnia. Żadna atrakcja dla 11-latk. Stereotyp marnego hoteliku i zadymionej gospody był na tyle silny, że jeszcze ćwierć wieku później nie umiałem zrozumieć, po co Znojmo w programie wyjazdu studyjnego organizowanego przez Czech Tourism dla polskich znawców wina i dziennikarzy.

Zdarzają się prawdziwe stereotypy, ale nie w tym przypadku. Stare, niemal jak cała czeska państwowość, miasto jest pełne zabytków. Ot, rotunda św. Katarzyny, stojąca na wysokiej

### PATRON WINNY

Morawiacy są bardziej przywiązani do tradycji religijnej niż reszta Czechów. Często widuje się tu kapliczki ze św. Urbanem – patronem winiarzy, winnic, winnej latorośli i dobrych urodzajów.

### PAGÓRKI PALAWY

Palava to bardzo malowniczy teren – nad obszerną równiną gdzieś wyrastają wysokie na kilkaset metrów wzgórza.





FOT. SHUTTERSTOCK

### ZAMEK SIEROTY

**Sierotčí hrádek został wzniesiony w połowie XIII w., a opuszczony w połowie XVI w. Z jego nazwą wiąże się legenda o władcy, który za zdradę zgładził całą załogę zamku, litując się jedynie nad nowo narodzonym dzieckiem.**

skarpie nieprzerwanie od XII stulecia, co w naszej części świata uważa się za naprawdę słuszny wiek. W ogóle jedną z atrakcji Znojma jest jego położenie. Płynąca tędy Dyja rzeźbi głęboką dolinę, na której brzegu rozsiadło się miasto i jego winnice. Kilkadziesiąt metrów od wyznaczającego w Znojmie oś świata gotyckiego kościoła św. Mikołaja tarasowo rosną winne krzewy Rajskiej. Jeszcze dziesięć lat temu strome zbocze porastały po prostu gęste chaszczce, ale ktoś z tutejszej, mającej już wyrobioną markę winiarni Lahofer dostrzegł potencjał miejsca. Teren wydzierżawiono i obsadzono winoroślą. Rajska to oczywiście adekwatna nazwa, choćby zważywszy na położenie „sali degustacyjnej”. Otoczony ceglany murkiem taras z widokiem na rzekę i zabytkowy most kolejowy to jedna z najbardziej malowniczych winiarskich miejscówek na Morawach. Pojęciem kluczowym jest tu jednak „jedna z”. Otóż kilkanaście kilometrów na zachód, w zakolu Dyji, leży Šobes – południowy stok z unikalnym mikroklimatem, zaliczany do ścisłej czołówki najlepszych siedlisk winiarskich w Europie, o walorach estetycznych nie wspominając.

### CZESKI FILM

Podróż ze Znojma jest monotonna niczym jazda przez Mazowsze. Kukurydza, słoneczniki, czasem winorośl. Na szczęście nie trwa to długo, bo zza kolejnego zakrętu wyłania się widok na Palawę. Kilkunastokilometrowe pasmo skalistych wzgórz jest dobrze rozpoznawalnym elementem południowomorawskiego pejzażu. To w tej okolicy, w zalanej już przez sztuczny zbiornik wiosce Mušov (jedyną pozostałością jest barokowy kościółek na wysepce), archeolodzy odnaleźli rzymski nóż do winorośli – niepodważalny dowód na długą tradycję winiarstwa w regionie. Gościnnie otwarte piwniczki znajdziemy w każdej wiosce u stóp Palawy, ale warto przejść się głównym grzbietem pasma. Na porośniętych lasem i stepowymi łąkami wapiennych wierzchołkach stoją malownicze ruiny dwóch zamków, strzegących w średniowieczu drogi na Brno. Widok z najwyższego szczytu, Devínu, obejmuje pobliską Dolną Austrię oraz potężny kompleks elektrowni atomowej w Dukovanach. Gdzieś w dolinie ginie główna, najczęściej odwiedzana miejscowość Palawy – Mikulov. Otoczone wzgórzami senne miasteczko było planem





zdjęciowym do „Młodego wina”, czeskiej komedii, która dla promocji morawskiego wina w Polsce zrobiła chyba więcej niż branżowe targi. Co ciekawe – producent filmu, Tomáš Vican, kilka lat później sam założył winnicę w regionie.

Ze swoimi barokowymi kościołami, znanym z pobytu Napoleona pałacem i kamieniczkami kryjącymi sklepy z winem Mikulov ma w sobie coś z Toskanii. Przynajmniej takim sloganem posługują się zachwalające uroki południowych Moraw foldery. Sporo w tym przesady. Cyprysów ani drzew oliwnych w okolicy nie uświadczymy. Ale już szmyrgające między kamieniami górującego nad miasteczkiem Świętego Pagórka trzydziestocentymetrowe, fantastycznie ubarwione jaszczurki zielone to żywy symbol przynależności regionu do Południa. Kiedyś tym symbolem była kultura uprawy winorośli. Dzisiaj, gdy dobrą winnicę znajdziemy pod Szczecinem, przestaje to być decydujący wyznacznik. Tyle że pod Szczecinem winnica będzie jedna, a na Morawach w każdej wiosce jest ich po kilka. Mniej lub bardziej szacownych. Przykładem tych bardziej uznanych są Templarskie Sklepy w Cejkovicach.

Historyczne piwnice zostały założone w połowie XIII w. właśnie przez templariuszy. Po rycerzach ślad zaginął (czyżby aż na Morawy sięgały macki Filipa Pięknego, króla Francji, który pod pretekstem herezji kazał wymordować zakonników, u których najwyczejniej w świecie był zadłużony?). Została dawna, kilkakrotnie przebudowywana twierdza (obecnie hotel) i kilkaset metrów korytarzy wypełnionych beczkami z winem. Ponoć piwnice budowano tak, aby mógł do nich wjechać zbrojny na koniu, ale albo zarówno ludzie, jak i konie były kiedyś niskiemnego wzrostu, albo strop osiadł przez stulecia. Degustacja w cejkoviczkich podziemiach jest miłym zaskoczeniem, nie tylko z powodu klimatu miejsca, ale i przez dobór trunków. Oprócz morawskiej wytrawnej i półwytrawnej „klasyki” gospodarze serwują wino lodowe – słodki, skoncentrowany specjał produkowany ze zbieranych zimą, zmrożonych winogron, napój z założenia luksusowy.

## 100 KIELISZKÓW W 90 MINUT

Valtice w zasadzie nigdy w historii nie należały ani do Moraw, ani tym bardziej do Czech.

### EKO I ENO

**Morawskie Trasy Winiarskie to ponad 1200 km znakowanych ścieżek rowerowych. Można pedałowac i po drodze degustować wino – oczywiście z umiarem.**



Przynajmniej do 1919 r., kiedy to, rozbiurając dawną monarchię habsburską na części, przyłączono ten skrawek Dolnej Austrii do nowo powstałego państwa czechosłowackiego. Na pewną ironię zakrawa więc fakt, że to w tutejszym, należącym niegdyś do książąt Liechtensteinów zamku, odbywa się corocznie najważniejszy winiarski konkurs Republiki Czeskiej, czyli Salon Win. Najlepsza setka jest wystawiana w podziemiach do otwartej degustacji. Każdy odwiedzający valticky zamek po uiszczeniu stosownej opłaty otrzymuje kieliszek i 90 minut na skosztowanie zasobów tutejszych piwnic. Upredzając cisnące się na usta pytania – nie,

nie da się spróbować wszystkiego, choć starać się warto...

Kompleks Plže w miejscowości Petrov jest biegunowo odległy od splendoru valtického zamku, ale wciąż pozostaje w kręgu kultury winiarskiej. To uliczka, po której obu stronach stoi osiemdziesiąt bliźniaczo podobnych, biało-błękitnych winnych piwniczek, o historii sięgającej XV w. Elementami wyróżniającymi są co najwyżej numery i wymalowane ludowe wzorki. Całość przypomina trochę egerską Dolinę Pięknej Pani, ale wszystko jest na głucho zamknięte. Tu nie robi się nic pod hordy turystycznych grup. *Skličky* są otwierane w konkretne dni lub na konkretną prośbę.

#### WYSOKI STRAŻNIK

Děvičky strzegły drogi na Morawy od XIII w. Jego ruiny wznoszą się na górze Děvín, najwyższym szczycie Wzgórz Pawłowskich.





Nie znajdziemy w Plżach wielkich nazwisk morawskiego winiarstwa, ale małych lokalnych producentów, robiących wino głównie dla radości swojej i sąsiadów. Nie trafiamy w „ten dzień”, a szkoda, bo takie piwniczki mają w sobie swoistą magię, sprawiającą, że nawet najprostsze, najbardziej wytrawne *veltinske zelene* smakuje w nich lepiej.

Na Morawach wszędzie znajdziemy odniesienia do wina. Stosowną zakładkę ma nawet oficjalna strona Kanału Baty, zabytku architektury przemysłowej z lat 30. Wybudowana na zlecenie „króla obuwia” Tomasza Baty, nowatorska jak na swoje czasy droga wodna, miała służyć do transportu drewna. Śmiało



FOT. MATEUSZ ŻEMŁA



plany przerwała wojna światowa i dziś kanał jest głównie malowniczym szlakiem dla jachtów oraz jedną z większych atrakcji regionu.

Wróćmy do Bzenca. Wizyta w tutejszym kombinacie jest szokiem dla kogoś, kto pierwsze winiarskie lekcje pobierał w ciemnych, ciasnych tokajskich piwniczkach. Rzędy lśniących, stalowych tanków o pojemności kilku tysięcy litrów psują romantyczne wyobrażenie o tajemnym procesie wytwarzania wina. Cóż, uroki masowej produkcji. Nalewane hojną ręką Ivo Kanovskega trunki znajomy bloger winiarski określa mianem „tarasowych”. Przyjemne, ale nieskomplikowane, w sam raz na upalny letni dzień. Z doświadczeniem nie ma się co spierać, ale nawet dla niewyrobionego podniebienia jest jasne, że to klasa lub kilka wyżej niż bułgarskie czy mołdawskie supermarketowe „wynałazki” (nie ujmując niczego dobrym winom z tych krajów), tak popularne wśród polskich konsumentów. Oczywiście winiarskie Morawy mają do zaoferowania dużo więcej. Choćby wyłamujące się z klasycznego trójpodziału kolorów wino pomarańczowe, dobrze oceniane przez znawców i modne wśród hipsterów. Wprawdzie regionowi raczej nie grozi inwazja dzierżących iPhone’y brodaczy w dżinsach rurkach, ale kto wie? Może warto się pospieszyć? ○

#### NA GÓRZE BIAŁE, NA DOLE CZERWONE

**W dolnych, jasnych beczkach leżakuje rulandské modré, czyli pinot noir. W górnych – ryzlink vlášský, czyli olaszrizling, czyli grasevina. Każdy kraj nazywa ten szczep inaczej.**



**Mateusz Żemła**

Etnolog, podróżnik, niezależny dziennikarz. Miłośnik szeroko pojętego Wschodu.





# KRZYK KAMIENIA

Od trzech dni siedzieliśmy na ganku. Utknęliśmy na końcu świata przez porywisty wiatr. Przed nami było gigantyczne jezioro, lago San Martín, którego nie sposób było przepłynąć przy prędkości wiatru przekraczającej 15 m/s. Za nami – kilka tysięcy kilometrów chilijskich bezdroży.

**C**zas zabijaliśmy na wszystkie możliwe sposoby: książki, rozmowy, trekking po okolicznych górach, wybraliśmy się z Asią nawet na łowienie na muchę. Wynajęliśmy przewodnika i łapaliśmy pstrągi, spoglądając na zwisający z pobliskiej góry lodowiec. A ponieważ nie miałem odpowiedniego sprzętu – woderów – w lodowatej rzece stałem boso i machałem wędką. Kiedy ja łowiłem, Alfonso, nasz przewodnik, pokręcił się trochę po brzegu, nabierał drewna, rozpałił ognisko

i położył na nim *planche* – grubą blachę, która robiła za patelnię. Zanim się rozgrzała, wyfiletował złapane pstrągi, przetarł patelnię tłuszczem i rzucił na nią mięso. Zaskwierczało z jednej i drugiej strony i po kilku minutach było na naszych talerzach. Sól i pieprz, najlepsza ryba na świecie.

Ale czwartego dnia już nam się nudziło. Zbijaliśmy bąki, opróżnialiśmy kolejne puszki z piwem i czekaliśmy na cud, który wiedzieliśmy, że przez co najmniej kolejny dzień nie nastąpi. Ulicą przeszedł starzy gość i zagadał do nas po angielsku.

Było to dość niezwykłe, bo w Villa O'Higgins niewiele osób mówi w tym języku. Przysiadł się, grzecznie odmówił piwa, bo: – *Może jeszcze dzisiaj gdzieś polecę* – powiedział.

– *Jak to polecisz?* – zapytałem. Jeszcze wtedy tego nie wiedziałem, ale już mnie miał w garści.

– *Po drugiej stronie szosy, za tym drewnianym budynkiem, stoi moja awionetka. Przyleciałem nią z Alaski.*

Równie dobrze mógłby powiedzieć, że dotarł tu z Brazylii na piechotę. Byłśm niemal na samym kontynentalnym





krańcu Chile, na drugiej półkuli w stosunku do Alaski.

– A gdzie będziesz leciał?

– A gdzie chcecie? – zapytał i spojrzał po nas. – Pogoda jest świetna, wiatr jest za silny dla łodzi, ale nie dla mnie. Słońce świeci, wszystko widać jak na dłoni, lepszych warunków długo nie będzie.

– Ile osób możesz wziąć?

– Pięć.

Dłużej nie musiał mnie przekonywać. Zapytałem, kto leci, i po chwili mieliśmy komplet.

– To za pół godziny na pasie startowym?

Mieliśmy wznieść się ponad czwarty co do wielkości lądolód na świecie – Lądolód Patagoński, a jeśli warunki pozwolą, zobaczyć z bliska Fitz Roya, granitową wieżę o wysokości 3405 m n.p.m. Wbiegłem do pokoju i zastanawiałem się, w co się ubrać. To nie miała być zwykła podróż samolotem – wiedziałem, że tutaj zakupów

na bezcłowym nie będzie, a jeśli dojdzie do wypadku i go przeżyjemy, zacznie się walka o życie. Wziąłem ze sobą rzeczy, których normalnie na pokład nigdy nie biorę: nóż, krzesiwo, racje żywnościowe na 1–2 dni, chemiczne ogrzewacze i zapas ciepłych ubrań, chociaż temperatura na zewnątrz wynosiła 15°C.

Żeby dostać się na pas startowy, musieliśmy przejść przez łąkę, na której pały się krowy. Wsiadliśmy w piątkę do awionetki i przeszliśmy nieco niestandardowe szkolenie przed odlotem. Zamiast typowego: „Tak należy zapiąć pas, a tak odpiąć”, było: – *Szanse przeżycia po upadku mamy niewielkie, ale w razie czego pod tylnym siedzeniem jest duży zestaw survivalowy: namiot, kuchenka, liofilizaty, nóż itd. Pod siedzeniem pasażera, na którym siedzi Łukasz, macie podobny zestaw, tylko że mniejszy. Powodzenia.*

Facet z obsługi naziemnej zakręcił śmigłem i rozpoczęliśmy kołowanie. Wzniesiliśmy się ponad góry i poleciliśmy na południe. Po lewej strony mieliśmy grzbiet Andów, a potem argentyńską pampę, a po prawej – Lądolód Patagoński. Białą, sięgającą po horyzont pierzynę ze śniegu i lodu. Kiedy lecieliśmy nad lago San Martín, pilot zniżył się trochę, żebyśmy mogli przyrzeć się z bliska górze lodowej, a potem znowu zaczął się wznosić, bo wlatywaliśmy w obszar górski. Lecieliśmy doliną pomiędzy jednym a drugim grzbietem i niemal ciągle targały nami turbulencje. Samolotem rzucało na boki, w górę i w dół. W rejsowej linii nad Europą ludzie wysyłaliby już do bliskich pożegnane SMS-y, w Patagonii takie warunki były normą. Kiedy wpadliśmy w dziurę powietrzną i awionetka spadła kilka metrów w dół, mojemu koledze wypadł z ręki telefon i poleciał pod dach. Unosił się jak w stanie nieważkości w kosmosie. Zanim opadł, Chris zdążył go złapać i dalej robił zdjęcia.

Było tak niesamowicie pięknie, że nawet Asia, która siedziała z tyłu awionetki i nieustannie wymiotowała (zapełniła trzy torebki), co rusz wzdychała z zachwytu.

W końcu dotarliśmy do najważniejszego punktu wycieczki. Szczyt Fitz Roya, jeden z najtrudniejszych na świecie, mieliśmy jak na dłoni. Wspinacze całymi tygodniami potrafią siedzieć w bazie i nawet go nie zobaczyć ze względu na chmury, a my widzieliśmy go w całej okazałości (ze względu na częste zachmurzenie

górze w języku tehuelcze nazywa się Cerro Chaltén – „górze, która dymi”). Granitowa wieża, niemal pozbawiona rys, które umożliwiłyby wspinaczkę. To ze względu na te trudności techniczne oraz bardzo kapryśną pogodę (wiatry wiejące niemal non stop, często przekraczające 100 km/h) do 1952 r. Fitz Roy pozostał niezdobyty. Nawet dzisiaj wejście na szczyt zapewnia duże uznanie we wspinaczkowym świecie.

Otworzyłem okno, żeby zrobić zdjęcie. Lecieliśmy tak blisko, że niemal wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć. Wydawało się, że jednym krokiem można stanąć na wierzchołku.

Po chwili spod Fitzka przenieśliśmy się nad Cerro Torre (3133 m n.p.m.), równie legendarny szczyt, uważany za jeszcze trudniejszy do zdobycia, który w „Krzyku kamienia” uwiecznił Werner Herzog. Jego kopułę oblepiała wielka, lodowo-śnieżna czapa. Zrobiliśmy dwa kółka i zaczęliśmy wracać. Turbulencje nie opuszczały nas ani na chwilę i nawet ja, raczej odporny na takie doświadczenia, miałem dosyć. Pomimo że pilot zaproponował dalszy lot w głąb lądolodu, wszyscy zgodnie poprosiliśmy o powrót na ziemię. Przez następne pół godziny lecieliśmy ze wzrokiem wlepionym w szyby. Podziwialiśmy prawdopodobnie najpiękniejszy krajobraz, jaki kiedykolwiek w życiu przyszło nam zobaczyć.

Po wyjściu z samolotu wróciliśmy na werandę. Dalej siedzieliśmy, sączyliśmy piwo i czekaliśmy, aż uspokoi się wiatr. Przeglądałem w myślach najciekawsze historie, które mi się przydarzyły. I doszedłem do wniosku, że większość z nich wzięła się z czekania. Z tego, że gdzieś utknąłem, zatrzymała mnie pogoda, nie stać mnie było na samolot albo autobus, więc całymi dniami czekałem na stopa. To wtedy pojawiały się okazje do rozmowy, przypadkowych spotkań, zaproszeń na obiad albo do domu. To wtedy udawało mi się połączyć dwa światy obcych sobie ludzi. Udowodnić raz jeszcze, że pomimo różnych kultur i języków chcemy się poznać, zbliżyć i porozumieć. ○

**Łukasz Długowski**

Absolwent filozofii, podróżnik, dziennikarz. Autor książki „Mikrowyprawy w wielkim mieście”. Swoje przygody relacjonuje na Facebooku i Instagramie: Mikrowyprawy.



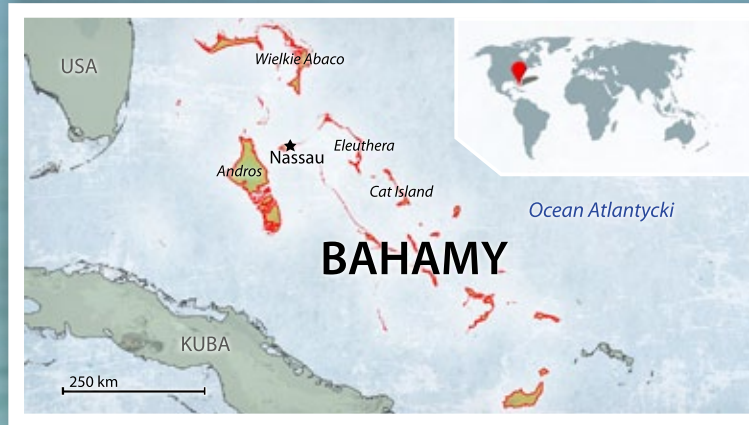


# SZAMANI I PŁYWAJĄCE ŚWINIE

Agata Kurzańska

Malownicze wyspy na Oceanie Atlantyckim są nazywane rajem na ziemi lub plażową stolicą świata. Na Bahamy składa się archipelag 700 wysp, z czego zamieszkałych jest zaledwie 30. Wszystkie oferują bielutki piasek, ciepły wiatr, cień pod rozłożystymi palmami i lazurową wodę, której przejrzystość w głąb sięga aż 100 m. Kanadyjski astronauta Chris Hadfield stwierdził, że Bahamy to najpiękniejsze miejsce na Ziemi widziane z kosmosu.







Nazwa Bahamy pochodzi od hiszpańskich słów *baja mar*, które oznaczają „płytkie morze”. Jest ono nie tylko płytkie, ale także niezwykle przejrzyste. Wyspy mogą oficjalnie pochwalić się najczystsza wodą morską na świecie.

Największe i najważniejsze z wysp to New Providence (gdzie znajduje się stolica Bahamów, Nassau), Wielka Bahama, Andros, Wielkie Abaco, Eleuthera oraz Cat Island. Te wielkie i rozproszone terytorialnie atlantyckie wyspy były w dawnych czasach doskonałą kryjówką dla piratów. W 1492 r. zostały odkryte przez Krzysztofa Kolumba, po czym Hiszpanie przeprowadzili kolonizację, wysiedlając większość miejscowej ludności. W 1648 r. rozpoczęła się zaś kolonizacja brytyjska. Lata później pojawili się spekulanci wojenni, którzy w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej handlowali z Brytyjczykami bawełną, i przemytnicy alkoholu w czasach prohibicji. W dalszym ciągu wyspy mają

niechlubny udział w przemyśle narkotyków oraz nielegalnych transakcjach finansowych. Bahamy odzyskały niepodległość w 1973 r., ale pozostały członkiem Wspólnoty Narodów.

Wyspy są trzecim najdroższym krajem na świecie pod względem kosztów utrzymania. Tylko Bermudy i Szwajcaria są droższe. Jednak jest szansa wrócić stąd z fortuną, bo hazard jest legalny (wyłącznie dla turystów). Właśnie na Bahamach znajdują się jedno z najbardziej luksusowych kasyn, zaraz po Monte Carlo. Tam również znajdziemy hotele z rekordową ceną za jedną noc – 25 tys. dolarów!

## ŚWIŃSKA WYSPA

Big Major Cay to wyspa niezamieszкана... przez ludzi. Żyje tu natomiast populacja ok. 20 świń domowych. Oczywiście zwierzęta te nie są gatunkiem występującym na wyspach naturalnie. Istnieje kilka historii, które wyjaśniają okoliczności ich pojawienia się. Jedna z nich mówi, że świnie wysadzili tu marynarze,

### BOGACTWO ATLANTYKU

Most prowadzący do jednego z najbardziej luksusowych hoteli Bahamów – Atlantis. W holu znajduje się olbrzymie akwarium. W hotelowym parku wodnym są jeżdźalnie, 11 basenów tematycznych oraz ścianka wspinaczkowa.





którzy planowali wrócić i zabrać je znów ze sobą, jednak nigdy ponownie nie dobili do brzegu. Kolejna głosi, że przeżyły katastrofę statku, który zatonął w pobliżu. Najbardziej prawdopodobna jest teoria, że zostały tu sprowadzone jako atrakcja turystyczną i jako taka sprawdzają się świetnie. Jednak z uwagi na to, że w stadzie nigdy nie ma starszych osobników, istnieje przypuszczenie, że to zwyczajna hodowla i w którymś momencie zwierzęta kończą na stołach w restauracjach czy domach.

Obrońcy praw zwierząt zwracają też uwagę na inne aspekty. Świnie nie mają regularnego dostępu do pożywienia. Miejscowi ich nie dokarmiają, by chciały jeść z rąk turystów. Jeśli jednak ze względu na różne czynniki ci się nie pojawiają, zwierzęta głodują. Co więcej, Bahamy nie są środowiskiem naturalnym świni domowej. Wysokie temperatury im dokuczają, a nie mają dostępu do błota, w którym mogłyby się ochłodzić. Co prawda pływają w oceanie, ale są wciąż narażone na działanie palącego słońca. Opowieści o ich sielskim życiu i tajemniczym pojawieniu się malują jedynie bajkowy obraz wyspy, która ma być miejscem przyjaznym dla wszystkich zwierząt.

Jednak dla wielu turystów spotkanie ze świniami to niesamowite przeżycie, bo konfrontują się ze swoimi przekonaniem o nich. Są one zadbane, pływają w krystalicznie czystej wodzie, a nie stoją w korycie ubrudzone błotem. Można je pogłaskać i przytulić. W tym miejscu przestają być postrzegane jak wieprzowina, ludzie widzą w nich mądre i uczuciowe zwierzęta. Patrząc na tę atrakcję z tej perspektywy, widzę w niej pewną rolę edukacyjną.

## BAHAMA MAMA

Słowa refrenu popularnej piosenki to slangowe, piśszcotliwe, ale trochę wulgarne określenie mieszkanki Bahamów, słynącej z... ogromnej pupy. To ona jest tutaj wyznacznikiem kobiecości i piękna.

Na cześć krągłych mieszkanek wysp powstał drink właśnie o nazwie Bahama mama. Koktajl pojawił się prawdopodobnie w czasie prohibicji, gdy Bahamy były miejscem przemytu alkoholu. Oryginalnie napój zawiera dwa rodzaje rumu: ciemny – ten nadaje koktajlowi głęboki smak i 151 Proof Rum (o 75,5 proc.

zawartości alkoholu) – ten ma zadanie specjalne. Jak powiedział jeden barman: – *On ma sprawić, że poczujesz bahamian vibes w mgnieniu oka.* Jest dostępny w każdym barze czy restauracji i jak stwierdzili jego twórcy, ma zwać z nóg tak samo, jak bahamska kobieta.

## OBI I LUSCA

Bahamy to kraj bardzo religijny. Podobno jest tu jeden z najwyższych na świecie wskaźników liczby kościołów na mieszkańca. Oprócz wyznań chrześcijańskich jest wiele innych kościołów i praktyk domowych.

*Obeah* (lub *Obi*) to synkretyczna praktyka religijna. Jest rodzajem czarów, które czasami porównuje się z voodoo, a za główne centrum tej praktyki jest uważana wyspa Cat. Na Bahamy ten rodzaj religii ludowej sprowadzili afrykańscy niewolnicy.

### WSZYSTKO NA LEWO

Na wyspach obowiązuje ruch lewostronny, mimo to większość tutejszych samochodów ma kierownicę po lewej stronie.







FOT. AGATA KURZAŃSKA



FOT. AGATA KURZAŃSKA

### TRZODA PLAŻOWA

Mieszkańcy wysp zapewniają, że Bahamy są rajem także dla świń. Zdjęcia celebrytów i influencerów z tymi zwierzakami robią furorę na Instagramie.

Co jakiś czas odwiedzający mogą natknąć się na szamana *obeah*, który za opłatą jest gotowy uzdrowić ich duszę. Mimo że mieszkańcy oficjalnie nie mówią o rytuałach *obeah*, na ich podwórkach można znaleźć znaki świadczące o praktykowaniu, jak lampiony i butle zawieszane na drzewach. Mają one chronić przed wpływem złych duchów.

Na tym nie koniec wierzeń. Na wyspie Andros można zobaczyć naprawdę spektakularne podwodne jaskinie, które łączą słodkowodne jeziora z Oceanem Atlantyckim. Mówi się,

że w tych dziurach żyje potworna istota, znana jako *Lusca*. Jest ona stworzeniem, które w połowie przypomina smoka, a w połowie ośmiornicę. Podwodne jaskinie są dość niebezpieczne i wielu ludzi tam utonęło, próbując dostać się do głębin samemu. Lokalni mieszkańcy twierdzą, że śmierć spowodowała właśnie *Lusca*.

### BUSH MEDICINE

*Bahamas bush medicine* jest praktykowana przez mieszkańców wysp od wielu lat. Wykorzystują oni wiele rodzimych roślin do celów leczniczych. Szczególnie popularne są różnego rodzaju herbaty i napary. O ile zwyczaj picia herbaty popołudniami może być kojarzony z przyzwyczajeniami z czasów, gdy wyspy były brytyjską kolonią, o tyle sam sposób przygotowania i uprawy pochodzi z Afryki. Sprowadzeni na wyspę afrykańscy niewolnicy nie mieli dostępu do leków, zatem wykorzystywali właściwości zdrowotne roślin. Liście i kwiaty były gotowane w gorącej wodzie, aby uwolnić substancje lecznicze. W jednym sklepie zielarskim usłyszałam od starszej





sprzedawcy: – *W naturze każdy liść, kwiat czy owoc ma swoje przeznaczenie. Trzeba je tylko poznać i umieć wykorzystać.*

Kupiłam od niej mieszkanke Bahamian Origin, zawierającą zioła, które występują tylko tam. Nie byłam w stanie spamiętać wszystkich właściwości tej herbaty, ale jej smaku na pewno nie zapomnę nigdy.

Wakacje na Bahamach są warte każdego wydanego dolara. O ile jest to kosztowna przygoda, o tyle wspomnienia są niezapomniane. Można cieszyć się białym, przypominającym pokruszoną kredę piaskiem, rajskim klimatem i spokojnym stylem życia. Można też poznać Bahamy od tajemniczej, nieturystycznej strony. Wystarczy odejść o kilka kilometrów od miasta, żeby zaobserwować wiszące na drzewach symbole *o-beah*. Każdy, kto zdecyduje się zrezygnować z posiłku z pakietu all inclusive, doświadczy obfitej, dość tłustej, jednak przepysznej kuchni bahamskiej. Podróżując do mniejszych wiosek, można trafić na uzdrowicieli, którzy wprowadzą zainteresowanego w świat medycyny naturalnej. Ci, którzy nie muszą liczyć się z wydatkami,

mogą zafundować sobie luksus w jego najokazalszej postaci. Ale nie wierzcie mi na słowo, sprawdźcie sami! ○



## CIEPŁA CZYSTA

**Bahamy mają najbardziej przejrzystą wodę na świecie. Jej temperatura przy brzegu prawie nigdy nie spada poniżej 22°C, a latem ma ponad 31°C.**



**Agata Kurzańska**

Z wykształcenia italianistka i dziennikarka, z pasji podróżniczka. Miłośniczka reportaży o Afryce, fotografii i kolumbijskiej kawy. Świat odkrywa przez smaki i rozmowy z ludźmi. Swoimi podróżami dzieli się na profilu @liveslow\_travelfast.





POLSKA NIEZNANA  
Mikołaj Gospodarek

FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



# U NEPTUNA PO SEZONIE

„Listopad to niekochana kobieta, co narzeka, narzeka, narzeka”. Słowa wiersza Józefa Barana, zaśpiewane przez Stare Dobre Małżeństwo, idealnie opisują najsmutniejszy miesiąc roku. Krótkie dni i długie wieczory, a do tego pogoda zazwyczaj płata figle. Co robić w listopadzie? Jechać do Trójmiasta! Zrobiłem tak w ubiegłym roku i już nie wyobrażam sobie innej pory roku na wizytę tam. Bo Gdańsk, Sopot i Gdynia to nie tylko starówka i plaże.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

**P**o gdańskiej starówce snują się leniwie niemieckie wycieczki, ale zwiedzających jest niewiele. Dzięki temu zupełnie inaczej odbiera się różne miejsca. Można zobaczyć Neptuna, który nie jest oblepiony rzeszą turystów. W niepogodę warto zwiedzić Narodowe Muzeum Morskie. Ekspozycja najbardziej zainteresuje znawców tematu, ale i zupełni laicy przeżyją tam miłe chwile na podziwianiu modeli statków i poznawaniu historii Bałtyku. Dzięki nowo wybudowanej kładce, mijając Filharmonię Bałtycką, przejdziemy w kierunku Muzeum II Wojny Światowej, które jest miejscem obowiązkowym do zwiedzenia. Tam dotyka się historii, a ciemne karty wielu wydarzeń oblewa



zupełnie inne światło. Następnie, zahażając po drodze o budynek Poczty Polskiej, można dotrzeć do Europejskiego Centrum Solidarności. Nowoczesny budynek kontrastuje ze stocznioowymi żurawiami i przemysłową zabudową. Miłośnicy miejskich panoram będą zachwyceni widokiem z jego dachu. Od roku można też samodzielnie zwiedzać tereny Stoczni Cesarskiej, a ułatwiają to tablice ustawione przy najciekawszych zabytkach.

Listopad to również dobry moment, żeby podziwiać park Oliwski w kolorach złotej jesieni. To enklawa w samym środku miasta. Nie sposób nie zajrzeć do znajdującej się obok katedry oliwskiej, żeby zobaczyć i posłuchać przepięknych organów. Zwiedzający Gdańsk miłośnicy dzikiej przyrody powinni udać się na Wyspę Sobieszewską, do rezerwatów Ptasi Raj i Mewia Łacha. Tam o każdej porze roku jest przepięknie. Mało znanym zabytkiem, ale zdecydowanie wartym zobaczenia jest Twierdza Wisłoujście. To najstarsza fortyfikacja nadmorska na polskim wybrzeżu i unikat na skalę Europy.

Kolejnym miastem na mojej trasie był Sopot. Właśnie w listopadzie, w środku tygodnia, można najlepiej docenić jego walory. Miasto jest niemal miniaturowych rozmiarów. Wybrałem się oczywiście na molo, które z pewnością zalicza się do najpiękniejszych w Polsce. Ale warto też zwiedzić mniej znany Górny Sopot z pięknymi, okazałymi willami, Operą Leśną, Stadionem Leśnym – a to wszystko na granicy Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego.

Spacer po Sopocie najlepiej zakończyć przejściem plażą w kierunku gdyńskiego Orłowa. Tam trzeba zobaczyć



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

majestatyczny klif i malownicze molo, z którego można go podziwiać. Warto też wejść szlakiem na szczyt wzniesienia i popatrzeć na wodę z innej perspektywy. Następnie można zrobić sobie długi, ale przyjemny spacer do centrum Gdyni.

Kiedy już znudził mnie skwer Kościuszki, wybrałem się do Muzeum Emigracji, które znajduje się w dawnym budynku Dworca Morskiego. To właśnie z tego miejsca wielu Polaków rozpoczynało swój rejs w nieznaną w poszukiwaniu nowego życia za wielką wodą. Ekspozycja w arcyciekawym sposób pokazuje zjawisko emigracji, jej historyczne tło i jednocześnie opowiada o losach Polaków na świecie.

Będąc tak blisko, nie mogłem sobie odmówić przyjemności spaceru po plaży w dzielnicy Babie Doły. Tam z brzegu zatoki można podziwiać ruiny starej, niemieckiej torpedowni. Jest to bardzo urokliwe miejsce, choć lekko surrealistyczne, bo

PRL-owska stylistyka bloków z wielkiej płyty miesza się tam z bukowym lasem, morskim klifem, plażą i uderzającymi o nią falami. Warto zobaczyć to na własne oczy.

Trzeba też koniecznie wybrać się kawałek za Trójmiasto – do Rewy. Miejscowość przed nią, czyli Mechelinki, też jest bardzo urokliwa. Remont nabrzeża zmienił klimat, który pamiętam sprzed lat. Mimo to wciąż można tu zobaczyć kutry na plaży. Jest tam również niewielkie molo. W Rewie warto zjeść rybę w smażalni, która mieści się na zakręcie drogi, tuż obok mola. Jadłem tam o każdej porze roku i zawsze byłem zachwycony. Taki posiłek przyda się przed spacerem na koniec cypla. O tej porze roku szaleją tam porywiste wiatry. Widoki jednak są warte tych kilku mroźnych chwil. Łąd zdaje się zlewać z wodą i zupełnie zacięra się granica pomiędzy nimi. To właśnie na Szperku kończy się Marsz Śledzia. Jest to prawie 12-kilometrowa przeprawa przez sam środek Zatoki Puckiej. Uczestnicy (ok. 100 osób) przechodzą i częściowo przepływają trasę z Półwyspu Helskiego do Rewy.

Gdańsk, Sopot i Gdynia to trzy piękne, zupełnie różne miasta. Po sezonie łączą je spokój. Żyją one wtedy swoim życiem, a turysta może swobodnie cieszyć się wszystkimi atrakcjami. ○

#### Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Jego prace można spotkać w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych lokalizacji.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK





# BARANI ŁEB I ŚMIERDZĄCA RYBA SMAKI ISLANDII

Mikołaj Wyrzykowski

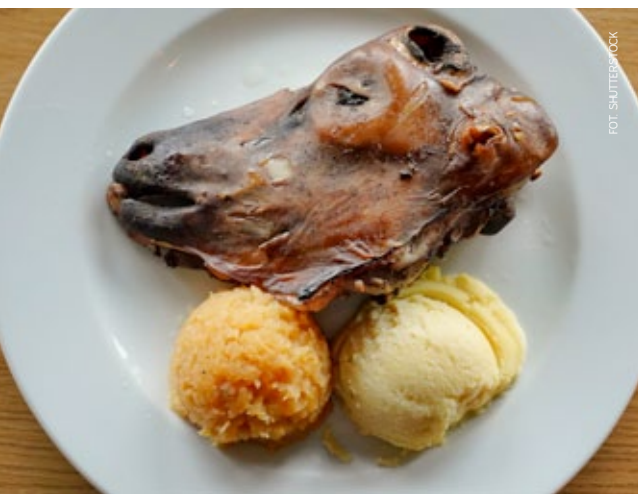




FOT. MIKOŁAJ WIEZWIOWSKI

Od czasów, gdy osiedlili się tutaj wikingowie, kraina lodu i ognia nie była łatwym miejscem do życia. Bezlitosna pogoda i nieurodzajna gleba sprawiały, że mieszkańcy przez wieki walczyli o przetrwanie. Ryby i baranina były prawie wszystkim, co wyspa dawała jako pożywienie. A jak dziś wygląda islandzka kuchnia?

**W** zakresie zasiedlenia wyspy nie zmieniło się tak wiele: domy nadal buduje się w niewielkiej odległości od wybrzeża, a na terenie wewnętrznych wyżyn, oprócz elfów i trolli, nie ma żywej duszy. W czasach średniowiecza i późniejszych osady na Islandii były jeszcze mniejsze: kilkanaście domów torfowych albo pojedyncze farmy, gdzie życie polegało na walce z naturą, a więc mroźnymi zimami, powodziami po odejściu śniegów, nieubłagany wiatrem. Mieszkańcy zajmowali się hodowlą owiec, czasem również krów. Wełna, z której dziergali swetry (słynne *lopapeysa*), chroniła przed chłodem i deszczem, a mięso napełniało żołądek i podtrzymywało przy życiu. Kto zaś mieszkał przy oceanie, ten spędzał dni na połowie ryb – dorsz stanowił



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK

#### NA CO DZIEŃ I OD ŚWIĘTA

Czyli kanony islandzkiej kuchni. Baranią głowę można kupić przez cały rok, a obowiązkowo trzeba zjeść na święta. *Plokkfiskur*, czyli dorsz zapiekany z ziemniakami, cebulą i mlekiem, to tradycyjna potrawa spożywana na co dzień.





FOT. MIŁOJA WYRZYKOWSKA

dorsze w różnych postaciach, langusty, małże oraz inne owoce morza są podawane w sosach przekazywanych z pokolenia na pokolenie lub też wzbogacanych przez współczesnych szefów kuchni choćby o sos sojowy, wasabi czy (wszechobecną) lukrecję. Uwaga jednak: wyspiarska tradycja mówi, że wszystko, co nadaje się do zjedzenia, powinno znaleźć się na stołach, nadal jest podtrzymywana. Oznacza to, że w restauracjach gości na talerzach śliczny ptak maskonur, będący symbolem Islandii (tutaj właśnie znajduje się jego największa kolonia). Podobnie rzecz ma się z tak często fotografowanym przez turystów islandzkim koniem; nie wspominając o kontrowersyjnym dla niektórych, a chwalonym przez innych mięsie wieloryba. Na te kilku- oraz kilkudziesięcioletnie ssaki polowano za czasów Moby'ego Dicka, poluje się na nie również i dziś: z tą różnicą, że każdego roku należy otrzymać

#### WSZYSTKOŻERNI

**Maskonur** to przepiękny ptak, który jest symbolem Islandii. Polują na niego nie tylko fotografowie, ale również myśliwi. Tu w formie dania w restauracji Trir Frakkar.

główny składnik pożywienia, co obrazowo jest przedstawione we współczesnej prozie Halldóra Kiljana Laxnessa oraz Jóna Kalman Stefánssona (islandzka ziemia, mimo niewielkiej różnorodności swoich owoców, urodziła wielu poetów i pisarzy).

Nie tak dawno okazało się jednak, że z naturą nie tylko nie trzeba walczyć, ale można ją wykorzystać. Z lawy wulkanicznej pozyskuje się sól. Słodki chleb razowy jest wypiekany poprzez zakopanie go w pobliżu źródeł geotermalnych. Na Islandii znajduje się jedyna w Europie plantacja wasabi oraz druga co do wielkości, po Wyspach Kanaryjskich, plantacja bananów. Wykorzystanie naturalnych źródeł energii pozwoliło na wybudowanie szklarni, w których hoduje się egzotyczne owoce, warzywa oraz pomidory czy truskawki. Koniec jedzenia wyłącznie ziemniaków, korzenia selera oraz marchewki!

#### STARE TRADYCJE, NOWE PRZEPISY

Baraniny oraz ryby tak dobrej, jak na Islandii, nie dostanie się nigdzie indziej. Wieki praktyki uczyniły z tutejszych kucharzy mistrzów w ich przyrządzaniu. Halibuty, łososie, zębacze,



FOT. SHUTTERSTOCK



pozwolenie. W tym roku nie zostało ono wydane, lecz jeden wieloryb starcza na długo dla szefów kuchni, a i tak większa jego część jest wysyłana do Japonii.

## ZASMAKUJESZ LUB ZEMDLEJESZ

Do islandzkiego zestawu obowiązkowych dań zdecydowanie należy *plokkfiskur*, czyli zapiekany dorsz zmieszany z ziemniakami, cebulą, mlekiem oraz prostymi przyprawami, do których dziś dodaje się również sos beszamelowy wraz z curry. Nie można jednak codziennie jeść tego samego, dlatego powstało święto tradycyjnego jedzenia: *Porrablót!* W czasie tych kilku zimowych tygodni Islandczycy oddają hołd kuchni przodków, spożywając takie pyszności jak baranie głowy czy jądra. W grudniu odbywa się uczta wigilijna: w tym

czasie wielbiciele nietypowych smaków mogą obejść się bez bożonarodzeniowego rarytasu, jakim jest fermentowana ryba skata. Według zebranych świadectw odór wydzielający się przy jej przyrządzaniu oraz pakowaniu jest tak silny, że ubrania pracowników już później nie nadają się do użytku. Kelnerzy o mało nie mdleją od tego samego aromatu oraz ścisku, który panuje w restauracjach w czasie ostatnich dni przedświątecznej gorączki. Dla niektórych bowiem święta nie zaczynają się naprawdę przed zjedzeniem sfermentowanej skaty.

Lżejszą wersją tego przysmaku jest serwowany przez okrągły rok fermentowany (tak, znowu) rekin: zapach nadal jest przesycony amoniakiem oraz bardzo starym serem pleśniowym, lecz dla tych, którzy znają bożonarodzeniowe aromaty albo lubią wiekowe, amoniakowe sery pleśniowe, łatwiej jest go



### FISH AND CHIPS

Suszone filety z dorsza są tu bodaj najpopularniejszym przysmakiem, który można jeść jak chipsy. Kiedyś, gdy brakowało zboża, zastępowały one chleb.





mięso zakopie się na kilka tygodni pod ziemią, odejdą z niego wszystkie toksyczne substancje. Później wystarczy je przez kolejne tygodnie suszyć i *voilà!* Można kroić w kostki i podawać, najlepiej z kilkoma kawałkami *hardfiskur* (suszony dorsz, świetny z odrobiną masła) oraz kieliszkiem zmrożonej wódki Brennivín, którą zwie się również Czarną Śmiercią. Czy może być lepsze połączenie?

## HOT-DOGI CLINTONA

Nie ma się jednak co martwić, gdyż na ulicach miasta najmniejszej i najdalej na północ wysuniętej stolicy Europy nie czekają tylko rekiny, wieloryby oraz dzikie ptaki. Islandia słynie również z wyrobów mlecznych, pośród których króluje znany już w średniowieczu *skyr*, czyli gęsty, produkowany z odtłuszczonego mleka jogurt – lub też, jak twierdzą klasyfikacje, ser. Gości on zarówno na wszystkich półkach sklepowych, jak i w restauracjach, gdzie znajduje zastosowanie przy przygotowaniu sernika bądź lodów – najpopularniejszych, zaraz obok lukrecji, islandzkich słodkości. Lodziarnie można znaleźć tutaj na każdym kroku, są otwarte przez cały rok i mieszkańcy uwielbiają do nich zachodzić bez względu na pogodę.

### WCIAŻ SZTUKA

Niegdyś zupa z baraniny ratowała od głodu. Dziś gości w wielu restauracjach jako wykwintne danie. Sztuka przetrwania zamieniła się w sztukę kulinarną.

znieść. Co więcej, jak głosi legenda, można go nawet polubić! A co głosi prawdziwa historia? Otóż w czasach walki z głodem mieszkańcy wybrzeża znaleźli sposób, który pozwalał nawet na zjedzenie rekina grenlandzkiego: pływającej po dnie oceanu bestii, która może żyć nawet kilkaset lat. Ktoś najpierw odkrył, że mięso to jest zabójcze dla człowieka. Następnie ktoś inny zauważył, że jeśli to samo







## BUŁKA Z RANA JAK ŚMIETANA

Jeszcze ciepła drożdżówka cynamonowa to chyba najlepsze rozpoczęcie dnia. Przechodząc obok piekarni Sandholt, nie można się oprzeć zapachowi *kaniłsnúdur!*



**Mikołaj Wyrzykowski**

Podróżnik, autor kilku książek i tomików poezji. Pasjonat Camino de Santiago oraz miłośnik francuskiego wina. Aktualnie student literatury na Sorbonne Université w Paryżu. Mieszkał w kilku innych krajach. Prowadzi blog „Zastanów się nad tym”. [www.mikolajwyrzykowski.pl](http://www.mikolajwyrzykowski.pl)

Więcej wypieków? Piekarnie w Reykjavíku mają do zaoferowania słodki, razowy chleb *rúgbrauð*, cynamonowe drożdżówki *snúdur*, zakręcone faworki *kleinur*... Każdy znajdzie coś dla siebie, łącznie z wielbicielami fast-foodów, ponieważ, jak twierdzi Bill Clinton oraz prasa, to właśnie tutaj można znaleźć najlepsze na świecie *pylsur*, czyli hot dogi. Słynna budka Bæjarins Beztu Pylsur

stoi pośród zabudowań starówki, gdzie kolorowe fasady domków nadal pamiętają czasy, gdy Reykjavík był zaledwie niewielką osadą, a na główne elementy menu mieszkańców składały się ryby oraz baranina. Dziś ubogi sposób żywienia przekształcił się w bogactwo tej małej wyspy, której sztuka, nie tylko kulinarna, ma wiele do zaoferowania dla wszystkich zmysłów. ○





# ŚLADAMI PROMETEUSZA

Janusz Kafarski

„Przez chwilę staliśmy oniemiałi przed wspaniałą panoramą. To nie były ani Alpy, ani Pireneje, nie było to nic, co kiedykolwiek wcześniej widzieliśmy, nic, co przypominała sobie nasza pamięć, nic, o czym marzyła nasza wyobraźnia; to był Kaukaz”. Tak pisał Aleksander Dumas (ojciec) o Kaukazie w podróżniczej relacji „Le Caucase. Depuis Prométhée jusqu'à Chamyll”.

Gergeti, znany również jako Ortsveri, to lodowiec o długości 7,1 km i powierzchni 11 km<sup>2</sup>. Schodzący na wysokość 2900 m n.p.m. jezior przesuwają się w zerodowanym wulkanicznym zapadlisku, które od północy ogranicza Kazbek, a od południa góra Orcweri.





Widok zbocza Kazbeku, z którego co jakiś czas staczają się ogromne głazy, jest niezwykle malowniczy nawet o pochmurnym poranku.





Pokonanie liczącego ok. 1,7 km odcinka po lodowcu Gergeti jest zalecane rano. Po południu często pojawiają się tu mgły.





Elbrus, leżący na północnym Kaukazie (w Rosji), jest najwyższym szczytem na kontynencie europejskim, o dwóch charakterystycznych, pokrytych wiecznym śniegiem kopulastych wierzchołkach: zachodnim (5642 m n.p.m.) i wschodnim (5621 m n.p.m.). Jest uznawany za wygasły wulkan, choć niektórzy twierdzą, że tylko drzemie.





Pierwszy wszedł na wschodni wierzchołek Elbrusa w 1829 r. przewodnik ekspedycji Cesarskiej Akademii Nauk Chillar Chaczirow. W 1956 r., na cześć 400-lecia Kabardo-Bałkarii, jednocześnie wspinało się na Elbrus 400 wspinaczy. W lipcu 1967 r. rząd radziecki w 50. rocznicę rewolucji październikowej zorganizował wspinaczkę, w której uczestniczyło 2500 osób. Od 1989 r. są organizowane zawody Elbrus Race. Rekord na trasie Extreme należy do Polaka, Andrzeja Bargiela. Ustanowiony w 2010 r., z czasem 3:23:37, nie został pobity do dziś.





W czasach islamskiej ekspansji na Kaukazie muzułmanie bez większego wysiłku zdobywali kolejne rejony. Gdy zagrozili Swanetii, mieszkańcy spędzili wszystkie świnie z doliny Inguri na przełęczy Donguz Orun (Świński Seraj). Muzułmanie, zobaczywszy „nieczyste” zwierzęta, oddali pole. Legendarne zwycięstwo upamiętnia do dziś nazwa tej przełęczy i szczytu.





Kaukaz to nie tylko fascynujące góry, ale także niemniej ciekawe i malownicze doliny. Tu na trasie z Gruzińskiej Drogi Wojennej w kierunku granicy z Osetią Południową.





Dolina Truso jest znana ze źródeł wód mineralnych, biało-żółtych trawertynów, średniowiecznych wież i ruin twierdzy Zakagori. Niestety wojna między Gruzją i separatystyczną Republiką Południowej Osetii w 2008 r. oraz zamknięcie granicy przez rząd rosyjski spowodowały, że dolina została opuszczona.





Wioska Ketrisi jest zamieszкана przez jedną rodzinę doglądającą rozsypujących się chałup i stada włóczących się świń.





**Janusz Kafarski**

Pilot wycieczek, lider grup  
górskich i trekkingowych,  
fotograf. Podróżnik  
wciąż głodny świata.  
[www.kafarski.pl](http://www.kafarski.pl)

Trzeci najwyższy szczyt w Gruzji i siódmy najwyższy szczyt w górach Kaukazu to Kazbek (5047 m n.p.m.). Jest kojarzony z Amiranim, gruzińskim Prometeuszem, który został przykuty łańcuchem w górach za to, że ukradł ogień bogom i dał go śmiertelnikom.





## ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

Anna Szczęsna



© M. LISOS - WIKIPEDIA

# GĘSIM PIÓREM

Urodził się w gospodzie, zmarł w hotelu. Całe życie był tułaczem. Napisał więcej książek, niż niektórzy zdążają przeczytać w ciągu całego życia. Klęska powstania listopadowego zmieniła jego myślenie o Polsce. Odtąd nie działania zbrojne, ale naukowe, kulturalne i społeczne miały utrzymywać świadomość narodową Polaków. Pod zaborami literatura musiała zastąpić instytucje, które w normalnych warunkach kształtowały społeczeństwo. Tej właśnie idei podporządkował całą swoją twórczość.

**P**isarz. Poeta. Publicysta. Dziennikarz. Tłumacz. Muzyk. Historyk. Archeolog. Kolekcjoner. Encyklopedysta. Kurator szkół. Społeczny. Dyrektor teatru. Rysownik. Malarz... Nadczłowiek? Omnibus? Leonardo da Vinci? Nie. Józef Ignacy Kraszewski – J.I.K. Mało kto wie, że był także szpiegiem. Choć z naszego punktu widzenia to nie jest właściwe słowo. Z pobudek patriotycznych współpracował z wywiadem francuskim przeciw Prusakom. Poza tym, że stworzył rekordową liczbę powieści, opowiadał

i innych form literackich, przede wszystkim był patriotą.

Listopad to miesiąc szczególnej pamięci o zmarłych. Dlatego wspominam J.I.K., bo jako twórca, który często sięgał po wątki historyczne i z wielką pasją opisywał dawno zaginiony świat, to właśnie on zaszczerpił we mnie pasję do poznawania tajemnic przeszłości. I chociaż odszedł już dawno temu, z jego książek ciągle można się wiele nauczyć. Krytycy twierdzą, że nie pisał arcydzieł. Ale z całą pewnością pisał dzieła wartościowe. Do tego robił

to ciekawie. To właśnie on stworzył wśród Polaków popyt na powieść, co później utworowało ścieżkę twórcom czasów pozytywizmu, z Sienkiewiczem i Prusem na czele.

Moim wspomnieniom o Kraszewskim towarzyszą refleksje z pobytu w Dreźnie, gdzie byłam rok temu. To wcale nie jest dziwne. W stolicy Saksonii mieści się niewielkie muzeum poświęcone naszemu pisarzowi. Dokładnie w tym samym budynku, w którym mieszkał podczas swojego pobytu tutaj. W muzeum znajduje



się nie tylko wystawa poświęcona twórczości J.I.K. Są także pamiątki po polskich imigrantach, którzy znaleźli się w Dreźnie po upadku wielkich powstań narodowych – kościuszkowskiego, listopadowego i styczniowego. Ekspozycja stanowi stały depozyt warszawskiego Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza.

Wróćmy jednak do Kraszewskiego. Lubiłam czytać jego książki. Rzecz jasna, nigdy nie przeczytałam wszystkich. W sumie napisał ich ponad 600. Samych tylko powieści 232, w tym 88 historycznych. Z tego 30 to były same bestsellery, ze „Starą baśnią” na pierwszym miejscu! Kraszewski był pisarzem o zupełnie bezprecedensowym dorobku. Przed laty widziałam przestrzenną makietę jego dzieł w Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy. Ekspozycja była wypełniona po brzegi atrapami książek J.I.K., a całość sprawiała wrażenie jakby długiego pociągu. I doskonale odzwierciedlała ogrom tytanicznej pracy pisarza oraz jego niezwykłą kreatywność.

Kraszewski wszystko pisał sam. Nie zatrudniał pomocników, nikomu nic nie dyktował. Codziennie siadał przy biurku i przez około sześć godzin pisał. Podobno bez wytchnienia i z niebywałą prędkością. Do tego wyłącznie gęsim piórem. Poza oczywistym faktem, że był niesamowicie systematyczny i obowiązkowy, przede wszystkim motywował go cel nadrzędny – niesienie duchowej stawy narodowi represjonowanemu przez zaborców. I on ten cel starał się realizować jak najlepiej. Zabrzmiało patetycznie, ale nie – nie był wieszczem narodu. Tę rolę w ówczesnej dobie spełniali wielcy poeci romantyczni, co zawsze podkreśla prof. Maria Janion.

Problemy swojej epoki Kraszewski prezentował w prostszej formie: powieści lub artykułu prasowego. Dzięki temu i szybciej, i łatwiej docierał z przekazem do szerokiej grupy odbiorców. Nie, nie tylko pocieszał. Również bawił. Pisał na przykład o modzie na bywanie w kurortach i o specyficznej kulturze tych miejsc. Zakres jego twórczości obejmował też propozycje rozwiązań wielu spraw istotnych dla będącego w niewoli politycznej narodu. Bardzo często poruszał kwestie sprawiedliwości społecznej. Pisał o niezwykle ważnej potrzebie oświaty dla ludu. Miał pełną świadomość, że tylko mądre społeczeństwo może stanowić prawdziwy fundament rozwoju kraju.

Zabiegał także o ratowanie zabytków, zwłaszcza na Kresach. Osobiście przeprowadzał akcje ich inwentaryzacji na Wołyniu. Opisywał i rysował niszczone ślady wielkości tych ziem. Zalecał także fotografowanie cennych pamiątek przeszłości! Był zresztą pierwszym prywatnym kolekcjonerem zdjęć. Dzisiaj znamy go przede wszystkim jako piewę dawnych dziejów. Jednak może nie wszyscy wiedzą, że stworzył własny model powieści historycznej. Opartej na rzetelnej wiedzy i faktach, z głównym bohaterem wywodzącym się z rzeczywistych kart dziejów.

Józef Ignacy Kraszewski, twórca z pokolenia romantyków, nie tylko przyczynił się do stworzenia w kraju klimatu, w którym (z fajerwerkami wręcz) zaistniała powieść następnego pokolenia – twórców epoki pozytywizmu. On polską powieść wprowadził także do Europy – ponad siedemdziesiąt jego dzieł miało w XIX w. przekłady na języki obce! Jako wybitny przedstawiciel inteligencji swojego pokolenia wyróżniał się nie tylko dbałością o podtrzymywanie polskości, zwłaszcza języka i kultury narodowej. Walczył też z wszelkimi uprzedzeniami – na czele z pojmowaniem „innego” jako wroga.

Kraszewski to jednak nie tylko „entuzjasta idylli prasłowiańskiej” oraz „ojciec powieści polskiej”. To także aktywny współpracownik kilkunastu czasopism krajowych i korespondent wielu redakcji zagranicznych. Na łamach gazet informował, edukował, nawoływał. Pragnął zmienić stosunki społeczne, zachęcał do przedsiębiorczości, walczył z nędzą i wykluczeniem oraz tysiącem innych bolączek. W czasach, gdy kierował działem literackim „Gazety Polskiej”, podpisał umowę z Wiktorem Hugo. Pismo to, jako pierwsze w Europie, drukowało „Nędzników”. Ludzie czytali francuską powieść, a przy okazji – artykuły J.I.K., w których apelował o intensyfikację gospodarczą kraju i przemycał inne ważne tematy.

Wiadomość dla pasjonatów literatury podróżniczo-historycznej: Kraszewski stworzył świetne „Wspomnienia z Polesia, Wołynia i Litwy”. Co prawda w jego czasach takie publikacje były po prostu modne, ale on stworzył naprawdę perełkę. Zawarł tutaj nie tylko wrażenia podróżnika, ale przede wszystkim ogrom rzetelnej wiedzy historycznej. Co ciekawe, opisał Pińszczyznę, rodzinną ziemię Ryszarda Kapuścińskiego, przyszłego genialnego



reportażysty, podróżnika, a także historyka z wykształcenia. Twórczość tego „cesarza reportażu”, tak samo jak wcześniej J.I.K., inspirowały ważne problemy społeczne. Dla obu pisarzy, choć okres ich aktywności zawodowej dzieliło ponad sto lat, praca publicystyczna była prawdziwą pasją.

Urodzony społecznik, człowiek z misją. Jak by sobie poradził Kraszewski w naszych czasach, kiedy tak bardzo zmieniły się styl życia, priorytety i sposób „konsumpcji” literatury? Doskonale. Jako baczny obserwator rzeczywistości zapewne od razu wszedłby w internet. Gęsie pióro natychmiast zastąpiłby klawiaturą, zachwycony globalnym zasięgiem sieci. Ze swoją fenomenalną zdolnością do błyskawicznego pisania i misją naprawiania świata z pewnością szybko zaistniałby w wirtualnej przestrzeni. W swoich publikacjach znowu poruszałby ważne problemy współczesne, z których większość jest przecież stara jak świat. Ludzie znowu by go czytali. To pewne. ◉

#### Anna Szczęśna

Dziennikarka, politolog, redaktor. Podyplomowo ukończyła także filologię polską i archiwistykę. Pasjonatka historii, archeologii, etnografii. Miłośniczka zabytków, literatury i sztuki. Entuzjastka spontanicznego zwiedzania. Bywa, że podróżuje z rozmysłem. Jednak najczęściej zatrzymuje się tam, gdzie coś ją akurat zachwyci.



# Za oknami jesień

Jesień to nie tylko plucha i zimno. To również piękne kolory, jakie towarzyszą nam podczas spacerów, dłuższych wycieczek pieszych czy rowerowych. W wyższych partiach gór to z kolei pierwsze okazje do trekkingu w zimowych warunkach.

## NAJWYŻSZA JAKOŚĆ SCARPA F1

To buty dla wszystkich alpejskich narciarzy, którzy oczekują komfortu, lekkości i uniwersalności. Sprawdzają się do sportów skialpinistycznych, świetnie nadają się do pokonywania wzniesień za pomocą raków podczas wymagających, technicznych zjazdów w puchu czy zlodzionym śniegu. Technologia Carbon Core zastosowana w cholewce i X-Cage Evo na mankierce zapewniają dużą sztywność i odpowiednie dopasowanie, które jest kluczowe przy technicznym zjeździe. Nowy mechanizm ski/walk jest jeszcze łatwiejszy w obsłudze. W butach zostały zastosowane dwa systemy zamykania, by lepiej dopasować je do stóp.



Cena: ok. 2370 zł  
[www.himalsport.com.pl](http://www.himalsport.com.pl)

## LIDER W SWOJEJ KLASIE PIEPS MICRO BT

To najmniejszy, najlżejszy i najbardziej intuicyjny detektor w kolekcji. Jego najważniejsze cechy to wydajność i precyzja. Urządzenie informuje o początku nadawania sygnału za pomocą wibracji. Detektor, podobnie jak w innych modelach Pieps, charakteryzuje się zasięgiem okrężnym i ochroną przed zakłóceniami oraz daje możliwość obsługi sondy iProbe. Można nim zarządzać przez Bluetooth i Pieps App. Maksymalny zasięg działania oraz szerokość pasa poszukiwań wynosi 50 m.



Cena: ok. 1500 zł  
[www.pieps.com](http://www.pieps.com)

Cena: ok. 450 zł  
[www.amc.com.pl](http://www.amc.com.pl)



Reactive  
LIGHTING

## MOC I LEKKOŚĆ PETZL SWIFT RL

Latarka czołowa Swift RL ma 900 lumenów i waży zaledwie 100 g. Jest najmocniejszą z kompaktowych latarek czołowych Petzl. Dzięki technologii Reactive Lighting analizuje ilość światła otoczenia i dostosowuje błyskawicznie i automatycznie kształt wiązki i jej moc do potrzeb użytkownika. Opaska ma odblaskowe elementy widoczne z daleka. Kształt opaski zapewnia znakomitą stabilność latarki na głowie podczas dynamicznych aktywności jak alpinizm, bieganie, narciarstwo. Obsługa latarki jest intuicyjna, jeden przycisk umożliwia dostęp do wszystkich funkcji. Czołówka jest wyposażona we wskaźnik naładowania akumulatora.



PRZEŁOMOWA TECHNOLOGIA

MĘSKA KURTKA L5 FUTURELIGHT™  
Z KOLEKCJI SUMMIT SERIES™

Ta kurtka to prawdziwy przełom w dziedzinie ubrań outdoorowych. Wykonano ją z materiału Futurelight™, stworzonego z wykorzystaniem technologii nanospinningu. Jedną z najważniejszych cech membrany Futurelight™, która odróżnia ją od tradycyjnie stosowanych membran, jest zdolność do przepuszczania na zewnątrz zarówno pary wodnej, jak i powietrza. Dzięki temu zapewnia ona lepszą wentylację bez utraty wodoodporności. Ideą marki The North Face było stworzenie kurtki technicznej o jak najwyższej oddychalności, której nie trzeba zdejmować np. na czas podejścia. Co ciekawe, technologia Futurelight™ pozwala projektantom The North Face na dostosowanie poszczególnych parametrów ubrań do ich przeznaczenia.

Cena: ok. 2550 zł  
[www.thenorthface.pl](http://www.thenorthface.pl)



Cena: ok. 150 zł  
[www.viking.pl](http://www.viking.pl)



KOMFORTOWE  
VIKING WINDCROSS

To softshellowa rękawica wielofunkcyjna wykorzystująca trójwarstwowy materiał Gore-Tex® Infinium z windstopperem, który gwarantuje maksymalną ochronę przed wiatrem. Przyjemna wyściółka i osłaniające warstwy membrany to idealne połączenie maksymalizujące komfort ciepły, jednocześnie izolujące od warunków panujących na zewnątrz. Dzięki elastycznemu mankietowi rękawice są doskonale dopasowane i nie przepuszczają chłodu. Wzmocnienie dłoni naturalną skórą zapewnia trwałość rękawic i osłonę przed przetarciami w kontakcie z ostrą krawędzią bądź kijkiem. W rękawicy można obsługiwać ekrany dotykowe dzięki Touch Phone System na palcu wskazującym i kciuku, co jest bardzo wygodne podczas aktywności w terenie. Rękawice sprawdzą się na wyprawie skitourowej, jeździe na rowerze, podczas marszobiegu lub na spacerze.

SCARPA F1

**B**oom na skitouring trwa w najlepsze. Wraz z rozwojem tej odmiany narciarstwa rosną wymagania i świadomość konsumentów. Dlatego postanowiliśmy przetestować buty renomowanej włoskiej firmy Scarpa.

Testowany model to Scarpa F1. Przez wiele osób uznawane są za jedne najbardziej uniwersalnych butów. Wygodne, lekkie, odpowiednio sztywne przy zjazdach, zaawansowane technologicznie. Jeszcze podczas ich przymierzania w siedzibie dystrybutora odniosłem wrażenie, że cała konstrukcja jest przemyślana i – mimo pozornego skomplikowania – bardzo prosta i wygodna w obsłudze. Zdecydowanie przyjemniej

zakładać te buty niż typowe zjazdowe, nawet bez wcześniejszego termoformowania (warto wyjść 2–3 razy w teren i dopiero wtedy je termoformować). Pamiętajmy, żeby wybrać najmniejsze z tych, w których czujemy się jeszcze komfortowo. But skitourowy musi być dobrze dopasowany do stopy, aby podczas podchodzenia nie unosiła się pięta. Scarpa F1 zostały wykonane z bardzo lekkiego materiału, który charakteryzuje się jednak wysoką wytrzymałością.

Miałem pewne obawy, czy jeżdżąc wiele lat w dość twardych butach zjazdowych (flex 110), przystosuję się do jazdy w F1. Bardzo miło mnie zaskoczyły. Dzięki użyciu materiałów (w tym karbonu) o różnych stopniach twardości i grubości stworzono buty, które





pozwalają na świetne przekazywanie siły z nóg do nart, co skutkuje ich wzmocnioną kontrolą w czasie zjazdów. A jeździłem po odwilży i późniejszych przymrozkach. Zwróćę jeszcze uwagę na wykonanie języka – nie tylko na odpowiedni kształt i wycięcia, ale i na materiał. Zastosowano tu system F1 Lever, który służy do przełączania się pomiędzy trybami chodzenia i zjazdu. Nie ma w nim elementów na stałe łączących dolną część skorupy i cholewkę. Dzięki temu mamy płynność ruchów i swobodę w czasie podchodzenia (gdy cholewka porusza się do przodu i do tyłu). Całość jest bardzo łatwa w obsłudze i zmiana trybu zajmuje dosłownie moment. Co do regulacji i zapięcia, to w dolnej części znajduje się system BOA®, czyli specjalne pokrętko napinające stalową linkę – pozwala w kilka sekund dopasować but do śródstopia. Jest po prostu niezawodne i łatwe w obsłudze nawet w grubych rękawicach. W górnej części butów umieszczono klamrę FBC (Fast Buckle Closure). Połączenie jej z szerokim paskiem z rzepem daje możliwość optymalnego wyregulowania całości. Nad klamrą umieszczono tradycyjny pasek z rzepem, który pozwala dodatkowo dociągnąć język i zapewnić perfekcyjne dopasowanie na puszczelach – co jest szczególnie ważne przy zjazdach w trudnym terenie.

Zastosowanie nowoczesnych rozwiązań w butach Scarpa F1 sprawia, że

są one odpowiednio sztywne podczas zjazdów oraz umożliwiają wygodne podchodzenie. Jestem pod ich wielkim wrażeniem. Są niezwykle wygodne, lekkie, świetnie dopasowują się do stopy, a wszystkie elementy świetnie ze sobą współgrają.

Test: Grzegorz Miedziński

## BLACK DIAMOND STORMLINE STRETCH RAIN SHELL

Chcąc jesienią cieszyć się górkimi wędrownkami, trzeba odpowiednio się do nich przygotować. Jednym z podstawowych elementów jest kurtka. Taka, która ochroni od deszczu i wiatru, ale równocześnie odprowadzi pot przy większym wysiłku. Takie po-



Cena: ok. 590 zł  
[eu.blackdiamondequipment.com](http://eu.blackdiamondequipment.com)



FOT. GRZEGORZ MIEDZIŃSKI

przed wilgocią. Połączenie funkcjonalnych materiałów oraz pomocnych technologii pozwala na uzyskanie lekkiej, oddychającej, a co najważniejsze hydrofobowej kurtki, doskonałej na wiosenne, jesienne i zimowe wypady w góry.

Techniczny, regularny krój zapewnia wygodę i pełną swobodę ruchu. Kaptur jest regulowany, co pozwala na dopasowanie go tak, by nie ograniczał widoczności. W razie potrzeby osłania również kask. Wysoka garda chroni twarz, nawet podczas najbardziej wymagających warunków pogodowych. Wywietrzniki pod pachami zapewniają dodatkową wentylację. Rzepowe ściągacze mankietów pozwalają dopasować dół rękawów do nadgarstków. Główny zamek został dodatkowo uszczelniony. Dolny ściągacz ze stoperem ułatwia dopasowanie kurtki. Dwie kieszenie na zamek zabezpieczają najpotrzebniejszy szpej. Możemy je wykorzystywać także jako pokrowiec na kurtkę, która jest lekka i waży zaledwie 320 g.

Jak wypada StormLine Stretch Rain Shell na tle konkurencji? Myślę, że bardzo dobrze. Black Diamond to uznana marka, której produkty są użytkowane w najbardziej skrajnych warunkach pogodowych i ekstremalnych miejscach. Możemy więc być pewni, że kurtka spod znaku diamentu nas nie zawie-

Cena: ok. 2300 zł  
[www.himalsport.com.pl](http://www.himalsport.com.pl)



trzeby zaspokaja oferowana przez firmę Black Diamond kurtka StormLine Stretch Rain Shell.

Została ona uszyta z odpornego na przetarcia i uszkodzenia mechaniczne nylonu. Domieszka elastanu pozwala na zachowanie lekkiej rozciągliwości. Tkanina rozciąga się w czterech kierunkach, umożliwiając pełną swobodę ruchu. Zastosowana membrana BD.dry™ 2.5L odpowiada za wodoodporność i ochronę przed zimnym wiatrem przy zachowaniu wysokiego stopnia oddychalności. Wykończenie DWR zabezpiecza kurtkę



dzie i będzie dobrze służyć całe lata. Pierwszy raz testowałem kurtkę BD, ale mam nadzieję, że nie ostatni.

**Test: Grzegorz Miedziński**

## CHIRUCA CONSTANZA

Constanza to kolejny model linii Travel, tym razem przeznaczony dla pań. Hiszpańska marka Chiruca wychodzi naprzeciw oczekiwaniom klientek. Wśród szerokiej gamy butów turystycznych i myśliwskich pojawiły się całkiem nowe modele, które idealnie nadają się do codziennego użytkowa-

nia. Buty wykonano z zamszu, co nada im nieco elegancji, a proponowane kolory zapewniają uniwersalność zastosowania: odcienie brązu, bordowe oraz wybrane przeze mnie – czarne. Materiał, z którego są wykonane, zapewnia trwałość, odporność na czynniki zewnętrzne, a także łatwość w utrzymaniu czystości, co szczególnie istotne w okresie jesienno-zimowym.

Buty mają membranę Gore-Tex® Performance Comfort. Dzięki niej są chronione przed przedostawaniem się wody do środka, a jednocześnie wilgoć wytworzona w środku podczas użytkowania zostaje sprawnie odprowadzona

na zewnątrz. Dzięki membranie idealnie sprawdzają się w niskich temperaturach. Komfort ciepły, a także walory estetyczne podnosi zastosowane na języku i kołnierzu miękkie futerko. Innowacją w obuwiu marki Chiruca jest rozwiązanie zastosowane w podszewie – najnowocześniejszy na rynku poliuretan X-TRA® (Chiruca Poliuretano X-TRA®). Jak zapewnia producent, jest to materiał, który nie ulega hydrolizie (nie kruszy się), ma bardzo wysoką przyczepność do podłoża bez względu na to, czy jest suchy czy mokry, a jedno-

cześnie jest bardzo wytrzymały. Podeszwy z poliuretanu X-TRA® są lekkie i sprężyste, składają się z dwóch warstw o różnej gęstości. Spodnia cechuje się wspomnianą już przyczepnością, odpornością na ścieranie i zginanie, a jej kształt zapewnia samooczyszczanie z kamieni, błota. Wewnętrzna warstwa zaś jest bardziej miękka – odpowiada za amortyzację, wygodę oraz elastyczność. Nie miałam okazji testować jeszcze obuwia w warunkach stricte zimowych, ale tegoroczna jesień pozwoliła już na sprawdzenie, jak radzi sobie w niskich temperaturach oraz podczas silnych opadów. Przy pierwszych przymrozkach, które przyszyły dość niespodziewanie, zdało egzamin idealnie, ponadto nogi nie pocity się w nim pomimo dość intensywnego użytkowania. Zamieszkanie w terenie podgórskim sprawia, że nawet buty do codziennego użytku muszą być bardziej odporne na czynniki zewnętrzne. W moim przypadku Chiruca Constanza odpowiada na potrzeby wynikające z warunków panujących w beskidzkich miejscowościach. Buty wyglądają lekko, zgrabnie, nawet trochę elegancko, a jednocześnie są niezawodne bez względu na pogodę. Z niecierpliwością czekam na przetestowanie ich w śniegu.

**Test: Ewa Miedzińska**



nia, a jednocześnie cechują się niezawodnością bez względu na panujące warunki pogodowe. Constanza są idealne dla kobiet, które na co dzień oczekują od obuwia nienagannego wyglądu, ale również szeroko rozumianej wygody. Dzięki zastosowanym rozwiązaniom buty sprawdzą się zarówno w drodze do pracy, szkoły, na zakupy, jak i podczas wyjazdów oraz lekkiej turystyki. Z uwagi na wysoką cholewkę i dodatkowe ocieplenie przydadzą się w warunkach pogodowych od późnej jesieni do wczesnej wiosny.

na zewnątrz. Dzięki membranie idealnie sprawdzają się w niskich temperaturach. Komfort ciepły, a także walory estetyczne podnosi zastosowane na języku i kołnierzu miękkie futerko.

Innowacją w obuwiu marki Chiruca jest rozwiązanie zastosowane w podszewie – najnowocześniejszy na rynku poliuretan X-TRA® (Chiruca Poliuretano X-TRA®). Jak zapewnia producent, jest to materiał, który nie ulega hydrolizie (nie kruszy się), ma bardzo wysoką przyczepność do podłoża bez względu na to, czy jest suchy czy mokry, a jedno-

**Cena: ok. 500 zł**  
**chiruca.pl**





# Pani władza

Kobiety do polskiej Policji Państwowej zostały dopuszczone w 1925 r. rozporządzeniem wydanym przez komendanta głównego. Powołanie sekcji kobiecej było spowodowane zaniepokojeniem Ligi Narodów wzrostem prostytucji, przestępczości wśród nieletnich i problemem handlu ludźmi.

Panie chcące zostać policjantkami musiały spełnić szereg wymagań. Kandydatkami mogły być jedynie panny lub bezdzietne wdowy w wieku 25–45 lat, które zobowiązywały się, że przez kolejne 10 lat nie wyjdą za mąż. Musiały się także odznaczać wzorowym zdrowiem, mieć przynajmniej 164 cm wzrostu i krótkie włosy. Niezbędne było także okazanie świadectwa moralności oraz opinii wystawionej przez jedną z organizacji kobiecych.

Na pierwszy kurs zapisało się 30 kobiet. Większość policjantek została wcielona do Brygady Sanitarno-Obyczajowej. Zajmowały się one głównie trudną młodzieżą, problemami wychowawczymi i rodzinnymi, zatargami ulicznymi, przestępstwami wobec kobiet, sutenerstwem i prostytucją. Współpracowały także z organizacjami społecznymi, towarzystwami ochrony kobiet oraz zakonami kobiecymi.

Po dziesięciu latach, w 1935 r., utworzono samodzielny Referat dla Spraw Oficerów i Szeregowych-Kobiet. Oddziały policji kobiecej działały w Warszawie, Krakowie, Wilnie, Lwowie i Łodzi. Policjantki zaczęto przydzielać także do brygad kryminalnych, jednostek śledczych oraz izb zatrzymań nieletnich. Do wybuchu II wojny światowej Szkołę Oficerów Policji Państwowej ukończyło w sumie ok. 300 policjantek.

Na zdjęciach: Referat Policji Kobiecej Centrali Służby Śledczej w Warszawie, 1939 r.



FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE





FOT. NARODOWE ARCHIWUM FOTOPROJEKT



FOT. NARODOWE ARCHIWUM FOTOPROJEKT





## HISZPANIA – SCENERIA „GRY O TRON”



## SYRYJSKIE DZIECI W JORDANII



## KOSTARYKA – REPUBLIKA SZCZĘŚCIA

# Poznaj Świat

## MIESIĘCZNIK

**Redaktor naczelna**  
Katarzyna Rojek  
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

**Sekretarz redakcji**  
Michał Biątek  
redakcja@poznaj-swiat.pl  
tel. 535 444 990

**Zespół i współpracownicy**  
Ryszard Badowski, Anita Demianowicz,  
Łukasz Długowski, Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek,  
Elżbieta i Piotr Hajduk, Maciej Jastrzębski, Marcin Kołpanowicz,  
Sławomir Kozdraś, Marta Legieć, Jerzy Nowiński,  
Tomasz Owsiany, Anna Szczęсна, Magdalena Zelewska,  
Magdalena Żelazowska

**Grafika, skład i przygotowanie do druku**  
Maciej Jurkowski, Anisim Fomiczow

**Patronaty medialne**  
Martyna Bulba  
martyna.bulba@poznaj-swiat.pl

**Korekta**  
Joanna Lewandowska

**Adres redakcji**  
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17  
redakcja@poznaj-swiat.pl  
www.poznaj-swiat.pl

**Wydawnictwo**  
Probiec Leasing sp. z o.o. sp. k.  
80-180 Gdańsk, Kowale, ul. Glazurowa 7

**Koordynator do spraw wydawniczych**  
Beata Pernak  
prenumerata@poznaj-swiat.pl

**Jak zamówić prenumeratę?**  
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

**PRENUMERATA KRAJOWA**  
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004  
posiadacz rachunku PROBIER

**PRENUMERATA ZAGRANICZNA**  
mBank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8  
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004  
SWIFT BREXPLPWGDA

 [facebook.com/miesiecznikpoznajswiat](https://facebook.com/miesiecznikpoznajswiat)

**Marketing i reklama**  
marketing@poznaj-swiat.pl

**Reklama outdooru**  
Grzegorz Miedziński  
tel. 501 641 706

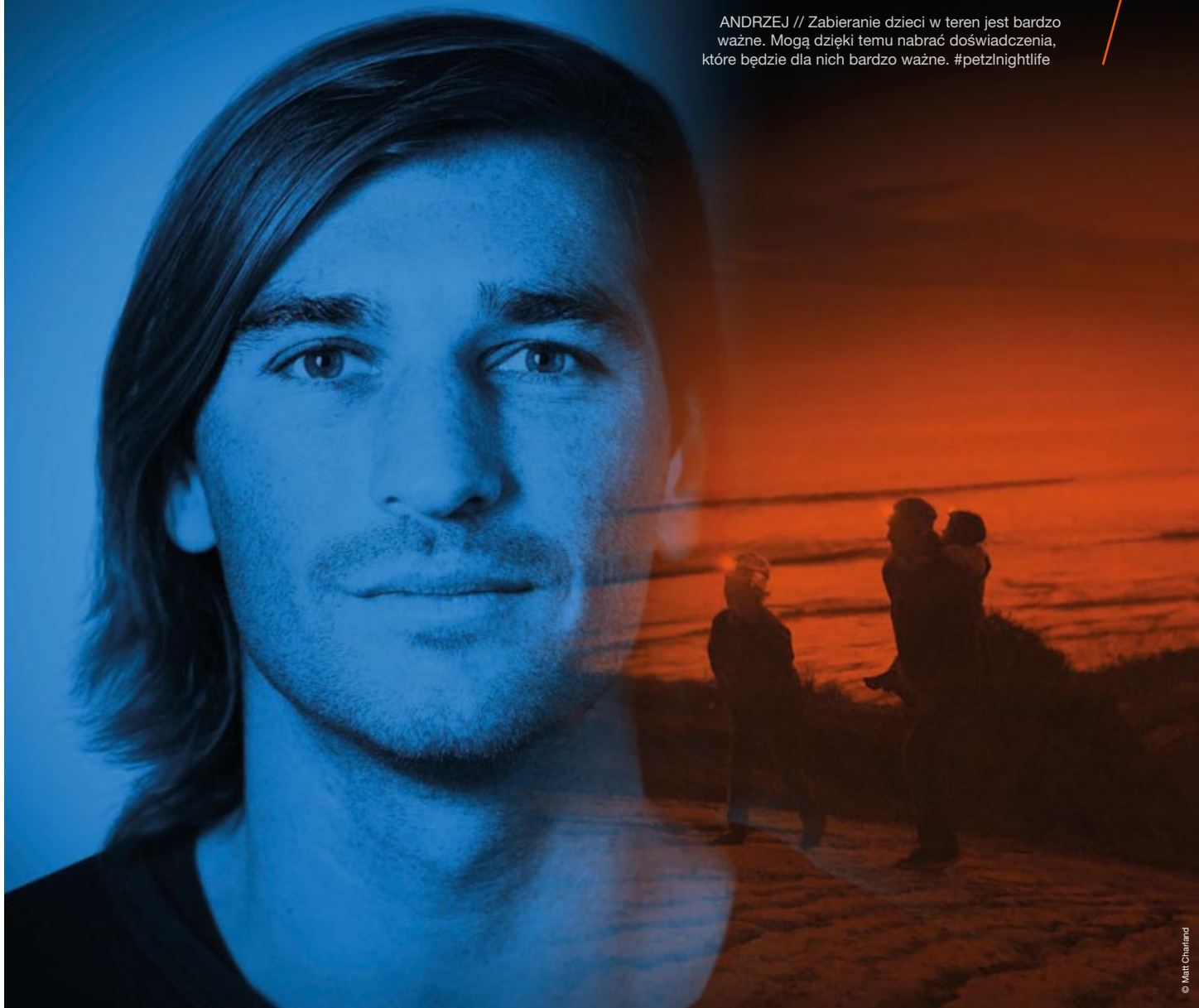
**Reklama świata**  
Aleksandra Musiał  
tel. 664 115 333

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.



# MY LIGHT MY WAY

ANDRZEJ // Zabieranie dzieci w teren jest bardzo ważne. Mogą dzięki temu nabrać doświadczenia, które będzie dla nich bardzo ważne. #petzlnightlife



© Matt Charnand



## ACTIK® CORE

Wielowieżkowa latarka czołowa z akumulatorem i czerwonym światłem. Przeznaczona do aktywności outdoorowych. 450 lumenów. [www.petzl.com](http://www.petzl.com)



Access  
the  
inaccessible®



# AKTYWNI

Zapewnij sobie widoczność  
dzięki latarkom i bateriom  
VARTA.



[www.varta-consumer.pl](http://www.varta-consumer.pl)

 **VARTA**  
In service for you